



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ■ ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 27 (1021)
3 LIPCA 1977 R.
CENA 3 ZŁ



RELACJE

„COLONIA DIGNIDAD”

„COLONIA DIGNIDAD” — WZOROWA NIEMIECKA POSIADŁOŚĆ W CHILE I KATOWNIA TAJNEJ POLICJI DINA: — taki tytuł nosi zbiór dokumentów opublikowanych niedawno w RFN. Dowody świadków ofiar „piekła Dignidad” i wnioski ekspertów świadczą ponad wszelką wątpliwość: zamaskowana pod szyldem posiadłości ziemskiej, kolonia zachodniemieckich osiedleńców w Chile jest mini-państwem nazistowskiego typu, w którym führungsiery kolonistów bogacą się bezlitośnie eksploatując niewolniczą pracę dzieci i dorosłych. W duchu nazistowskich sadystów poddają torturom bezbronnych ludzi, utrzymując swoje przestępstwa w tajemnicy dzięki opiece Junty i jej tajnej policji — DINA.

Ta taskawość policji jest uzasadniona — za drutami kolczastymi, w podziemnych pomieszczeniach kolonii, przystosowanych do najbardziej wyrafinowanych tortur, poddaje się męczarniom setki więźniów politycznych, przeciwników reżimu Pinocheta.

496 kilometrów na południe od Santiago, u podnóża Kordylierów, niedaleko od gorących źródeł Catillo, brzmi niemiecka mowa. Tutaj, na powierzchni 12 tys. hektarów, mieszka 350 zachodniemieckich osiedleńców. Swoją gigantyczną posiadłość nazywają „Colonia Dignidad”, co znaczy „Kolonja Godności”. Wjazd do niej strzegą ciężkie, żelazne wrota i uzbrojeni strażnicy. Sfora spuszczonej z łańcucha ovczarków biega wzdłuż wysokiego ogrodzenia. Osobom postronnym wstęp wzbroniony.

W świat idą opowiadania o „niemieckim raj” w chilijskich górach” o „powabach wzorowego przedsiębiorstwa rolniczego”, gdzie panuje ponoc atmosfera przypominająca tradycje niemieckiego chłopstwa. Ale nie otwary się wrota tego rajy przed korespondentem „Stern”. Herem Bussem, chociaż z wczasu powiadał o zamierzonej wizycie. Nie udało mu się nawet wywołać z budki strażników. Natomiast w drodze powrotnej, kilka kilometrów od posiadłości, ujrzał H. Buss samochód chilijskiej tajnej policji DINA, który zagroził mu drogę. Trzech agentów wywlokło dziennikarza z jego samochodu, zawiozło do Santiago, a nazajutrz rano został bez żadnych wyjaśnień wydalony z kraju, „z polecenia ministra spraw wewnętrznych” — tak brzmiało postanowienie o wydaleniu Bussa.

Dlaczego zachodniemieccy osadnicy tak bardzo nie lubią zainteresowania obcych, a chilijscy agenci tajnej służby tak gorliwie strzegą ich spokoju, aresztując nieproszonych gości? Odpowiedź na to pytanie daje raport Organizacji Narodów Zjednoczonych w sprawie gwałcenia praw człowieka w Chile. W dokumencie nr A-31/253, w rejestrze chilijskich tajnych ośrodków, w których torturują się więźniów politycznych, „Colonia Dignidad” figuruje na pierwszym miejscu. W dokumencie mówi się dosłownie:

„Według zeznań poszkodowanych, w posiadłości „Dignidad” poddaje się więźniów różnym torturom, jak np. biciu, wstrząsom elektrycznym, podwieszaniu za ręce itd. Uwieszonych poddaje się długotrwałemu działaniu preparatów narkotycznych, które szkodliwie działają na sprawność intelektualną, stosuje się catkowiła izolację na bardzo długie okresy czasu i inne metody znęcania się nad ludźmi.”

Dalej czytamy:

„W osadzie „Dignidad” funkcjonuje specjalna podziemna komórka prowadzenia tortur, wyposażona w szereg urządzeń, dwiękuchłonych, szafelnic zamykanych cel. Są w nich zainstalowane specjalne urządzenia do prowadzenia tzw. dochodzeń, podczas których rozebranych do naga więźniów przytwierdza się do metalowych łóżek i poddaje wstrząsom elektrycznym”.

Ponura historia „Colonii Dignidad” sięga lat 50. Narodziła się w Republice Federalnej Niemiec, a u jej kolebki stał niejaki Paul Schefer, który skłecił coś w rodzaju sekty religijnej nadając jej nazwę „prywatnej misji społecznej”.

W 1954 roku Paul Schefer poznał baptyjskiego kaznodzieję, Hugo Baara, który zakochał się niebawem wokół werbnaku „braci” do sekty. W 1960 roku „misja” wybudowała dom nad brzegiem Renu oficjalnie nazwany „przytulkiem dla sierot”. Od czasu do czasu sąsiedzi słyszeli szlochy i krzyki dochodzące z przytulku. Pewnego dnia zainteresowała się przytulkiem policja kryminalna, bo jak się okazało P. Schefer, wypędzając diabła z wychowanki, Renaty Freitag, zbil ją tak dotkliwie, że ponad miesiąc nie mogła wstać z łóżka. Nieco później dwoje dzieci, mimo zakazów i zastraszania, opowiedziały rodzicom, że bito je i zaczęto się nad nimi.

Rozpoczęto śledztwo i Schefera postanowiono aresztować. Jednakże „misjonarz” ulotnił się jak kamfora. Jego nazwisko znalazło się w wykazie przestępców poszukiwanych przez Interpol, ale Scheferowi udało się zbiec do Chile, gdzie się osiedlił, przygotowując grunt dla swoich kamratów, którzy w ślad za nim mieli przebyć Atlantyk. Władze chilijskie nie wyraziły sprzeciwu na kolektywny wjazd grupy Niemców z Republiki Federalnej.

Reński sztab „misji” przekształcono w maleńką filię, którą kieruje Hugo Baar. Między „Colonia Dignidad” i „filia” istnieje stała łączność radiowa. Baar załatwia dostawy maszyn na produkcyjne potrzeby osadników. Leczba mieszkańców kolonii zwiększa się dzięki chilijskim dzieciom, które Schefer „bierze na wychowanie”. Paul Schefer czuje się w Chile zupełnie bezpieczny, mi-

Dalszy ciąg na str. 6

WIEŚ



podpatrywacz

RYSZARD BINKOWSKI

We wsi kręcili głowami, sarkali, uśmiechali się głupawo i pukali znacząco w czoło. Mówili:

— Po co ci, człowieku, ta cholerna budowa? Zdrowie i pieniądze stracisz, a nic z tego nie będzie!

— A co wsiejesz, to wybiorą kruki i kawki. Tylko siedzą, te diabły, i patrzą, co chłop sieje. I czekają, kiedy odejdziesz, żeby wszystko wydziać...

— Co ty, Gienek, kościół stawiasz na podwórku? — śmiali się inni.

Tak mówili w Łaziskach. I nie bez racji, bo przywykli przez lata do ciężkich warunków i z pokorą ulegałi naturze. Wiesz, jak prawie każda w gminie Dłutów, otoczona lasami. Na dziesięć tysięcy hektarów obszaru gminy — trzy tysiące hektarów lasów. Niszczą nie tylko ptaki. Jeszcze gorsze są dziki, które w nocy ryją w kartoflach, jak mechaniczne ko-

paczki. No, a gleby lichutkie, piąta i szósta klasa. Z hektara łąk zbierano przed wojną piętnaście kwintali siana. Bo nawozów nie wysiewano, a gnojówki szkoda było na trawę wylewać. Toteż, kiedy Eugeniusz Klimek zaczął budować małą oborę, na siedem sztuk bydła, ludzie strasznie się dziwowali, bo to była wtedy największa obora we wsi. Odradzali

mu, jak mogli, ale Klimek się uparł i oznajmił, że tak poprowadzi gospodarstwo, iż wszyscy się z niego utrzymają, cała rodzina, i nikt nie będzie musiał szukać pracy w Pabianicach lub Łodzi. Sam jednak, aby wybudować tę oborę, sprzedał żelazniak, kupił wóz balonowy i zaczął się wynajmować do wywózki drewna z lasu. Wiedział, co robi...

2.

Kiedy w KG PZPR w Dłutowie poprosiłem o wskazanie mi ciekawego, godnego reportażu rolnika, sekretarza o dużych, brązowych oczach odparła z wdziękiem, że pierwszy sekretarz jest w terenie, wobec czego ona nie może mi udzielić informacji, ale zapewne zrobi to służba rolna. I zaprowadziła mnie do szefowej służby rolniej, Janiny Majdy, która posiada wszystkie zalety sze-

Dalszy ciąg na str. 5

INWAZJA HEROINY

Tygodnik NEWSWEEK z dnia 18 kwietnia br. poświęca główną część swego wydania omówieniu narastającego niebezpieczeństwa związanego z rozpowszechnianiem narkotyków, o przede wszystkim heroiny, w krajach Europy zachodniej, drogi jej przetrwania do krajów, dane ce do produkcji oraz wykłady ilustrujące społeczne skutki jej działania.

Nieletnie prostytutki o ramionach pokrytych śladami ukłuc, krzątają jak widma po ulicach Sztokholmu. Urzędniczy celni w lotnisku w Rzymie kontrolują bagaż małego włoskiego turysty znajdującego 9 kilogramów brązowej azjatyckiej heroiny. W Paryżu ciała ofiar przedawkowania tego narkotyku można znaleźć zarówno w toaletach jak i w dworcach kolejowych, jak i w wykwinnych apartamentach.

John T. Cusack, rzecznik amerykańskiej agencji zwalczania narkotyków, stwierdza: „Z naszych informacji wynika, że narkomania w oparcu o heroinę szerzy się w całej Europie, począwszy od Wiednia aż do Londynu i od Rzymu na południu do Sztokholmu na północ”.

Policja w wielu miastach notuje ostatnio wyraźny wzrost takich przestępstw jak zbrojny rabunek i napadzi uliczne, kiedy zrozpaczeni narkomani usiłują zdobyć pieniądze na swą codzienną dawkę. W niezliczonych domach w całej Europie rodzice z przerwaniem dowiadują się, że ich dzieci używają silnych narkotyków.

Dochodzą do tego jeszcze bardziej ponure wiadomości. Oto w 1976 roku 325 osób w RFN, 58 w Francji, 50 we Włoszech i 18 w Szwecji zmarło z powodu przedawkowania heroiny. W tym roku jest już oczywiste, że liczba ofiar śmiertelnych wzrosła. Nie posiadające doświadczeń w zwalczaniu epidemii narkomanii władze wymiaru sprawiedliwości i służby zdrowia w Europie nie są zdolne do szybkiej reakcji. Prawda jest, że konfliktuje się coraz więcej szmuglowanej heroiny. Faktem jest, że po raz pierwszy władze europejskie skonfiskowały więcej heroiny, niż ich amerykańscy odpowiednicy. Podjęto również sporadyczne wysiłki dla programów uświadamiających w zakresie narkomanii i stwarzania ośrodków rehabilitacyjnych dla narkomanów. Jednakże specjaliści od narkomanii na świecie są zgodni co do tego, że handlarze stale o krok wyprzedzają policję i że urzędzenia dla zwalczania narkomanii są absolutnie niewystarczające i że plaga narkomanii w Europie będzie długo jeszcze stawała się coraz groźniejsza, zanim sytuacja zacznie się poprawiać.

Ekspert odnosa obecna inwazję heroiny do wczesnych lat sześćdziesiątych, kiedy to turecy robotnicy cudzoziemscy pojawili się w wielkich ilościach w Europie zachodniej. Wieu z nich przywoziło ze sobą małe ilości

surowego opium, otrzymywanego z plantacji maku w ich kraju rodzinnym i rozpoczęło sprzedawać je młodym Europejczykom. W ciągu następnego dziesięciolecia w różnych krajach zaczęły powstawać społeczności młodych ludzi uzależnionych od surowego opium i morfiny.

Począwszy od roku 1972, jak stwierdza jeden z amerykańskich ekspertów Europa stała się „bardzo zachęcającym rynkiem” dla białej heroiny produkowanej w południowej Francji, która dotychczas prawie w całości była szmuglowana do USA. Jednakże zanim francuscy handlarze mieli szansę zacząć eksploatować własny rynek, podjęto kroki, aby rozbić słynną „francuską bezdrożność”. Używając różnych środków dyplomatycznych i nacisków ekonomicznych rząd amerykański skłonił Turcję do wstrzymania uprawy maku. Następnie agenci amerykańscy i francuscy zdolali zlikwidować większość wytwórni narkotyków w Marsylii. W Europie zachodniej istniał narastający popyt, jednakże najwygodniejsze źródło dostaw zostało odcięte.

Począwszy od 1973 roku celnicy i straż graniczna zaczęła wykrywać i konfiskować heroinę na całym kontynencie. Wówczas już policja była przekonana, że Amsterdam jest ośrodkiem dystrybucji heroiny. Jednakże dopiero w 1975 roku ilość dokonywanych aresztowań i aresztowanych przewidywane rozmiary rozwijającego się gwałtownie handlu heroina. W tym czasie główni handlarze jednak zabezpieczyli się już bardzo dobrze i było już za późno, aby powstrzymać to, co się okazało epidemią heroiny na wielką skalę. Przedstawiciele organów ścigania i sprawiedliwości usiłują powstrzymać rozwój epidemii, natomiast na pewne szczególne problemy. Przede wszystkim amsterdamską społeczność chińska przez długi okres okazała się nieprzenikalna dla osób z zewnątrz, a przede wszystkim dla policji. Jak stwierdził jeden z chińskich misjonarzy w Amsterdamie, „dla Chińczyków w Amsterdamie nie istnieje prawo. Mamy swoje własne prawa”. Władze holenderskie natrafiały na mur milczenia, a szefowie gangów rozprowadzających heroinę byli trudni do zidentyfikowania, a tym bardziej do ujęcia. Główny inspektor brygady do zwalczania narkotyków, stwierdza:

„Lapaliśmy małe rybki, wielkie były nadal wolne”.
Trudne było również wychwytywanie kurierów. Od czasu, gdy władze holenderskie zwiększyły kontrolę na lotnisku w Amsterdamie, szmuglerzy rozszerzyli liczbę lotnisk, na które przybywali, do kilkunastu, w różnych miejscach w Europie. Czasami pięciu lub sześciu kurierów wsiadło do tego samego samolotu, w nadziei, że celnicy wykryją tylko jedną paczkę heroiny, a pozostałe uda się przetransportować. W ubiegłym roku Europejczywi i Amerykanie zaczęli przejmować funkcje dostawców, ponieważ Azjaci przybywający z Hongkongu, Kuala Lumpur lub Bangkoku byli zbyt ściśle kontrolowani. Kiedy szmugler przedzie bezpiecznie przez kontrolę na lotnisku, wsiada on w pociąg do Amsterdamu, a praktyczny brak kontroli celnej na granicy Holandii ułatwia mu zadanie. To samo dotyczy kurierów, którzy udają się z Amsterdamu do innych miast europejskich. Działacze swą zasoby na małutkie trudne do wykrycia paczuszki, szmuglerzy łatwo przenikają przez porośnięte granice w Europie zachodniej.

Na granicy niemiecko-holenderskiej w ubiegłym roku przyłapano ponad 1200 osób wiozących heroinę. Jednak biorąc pod uwagę ogólny przepływ przez tę granicę, jasne jest, że wiele tysięcy szmuglerów nie zostało wykrytych. Jak stwierdza dyrektor federalnej agencji kryminalnej, Erich Strass: „Istnieje ogromna armia osób kursujących między Amsterdamem i RFN... Jesteśmy zalewani przez tak ogromną liczbę różnego rodzaju szmuglerów, wiozących niekiedy minimalne ilości, nie przekraczające 200—300 gramów, że praktycznie niemożliwe jest przeciąć te dostawy”. Ekspert, który zajmuje się zwalczaniem plagi narkomanii, stwierdza, że poza zwykłe cytowanymi przyczynami, takimi jak dostępność narkotyków, ciękawość, naciski grup nieformalnych i wysokie bezrobocie, istnieją głębsze przyczyny wywodzące się z istoty nowoczesnego społeczeństwa europejskiego. Dr Francis Curtet ze szpitala Mar-mottan w Paryżu mówi:

„Coraz więcej i więcej znajduje się rodziców, którzy nie są godni szacunku. Dziecko chce odejść od nich i wtedy napałyka hippisów z gitarą”.

Inny lekarz stwierdza: „W naszym społeczeństwie nie znajdujemy przyjemności. Narkotyki są drogą, na której można być doznać. A z chwilą, gdy ktoś raz spróbuje heroiny, stwierdza, że nie na świecie nie daje większej przyjemności”.

Dr Clasus Wanke, znany psychiater z uniwersytetu we Frankfurcie, ocenia obecną eksplozję heroiny w kontekście historycznym. Mówi on:

„W dawnych czasach wszędzie gdzie używano narkotyków istniały płożne kulturalne mechanizmy ochronne i tabu przeko-nadmiernemu użyciu. Obecnie

tego rodzaju mechanizmów nie ma”.

Bez wątpienia wielu narkomanów w Europie po raz pierwszy zapoznano się z „brązowym cukrem” myśląc, że jest on podobny do innych narkotyków, których dotychczas używali. Jednakże oni i europejska opinia publiczna jako całość dowiadują się obecnie strasznej prawdy o narkomanii heroinowej.

Raz zaczęwszy narkoman musi otrzymywać dawkę heroiny co 4—6 godzin, lub przeżywać niesłychane bóle z jej braku. Ponadto narkomani stają się psychologicznie zależni od narkotyków i nie są w stanie wyobrazić sobie życia bez ekstazy, którą odczuwają, gdy heroina znajduje się w ich krwiobiegu. Jak stwierdza dr Clasus Wanke, „heroina wywołuje organiczne uzależnienie, a najtrudniejszą rzeczą jest nauczyć narkomana zdolności odczuwania radości i odprężenia bez heroiny”.

Przy tak potężnym uzależnieniu psychicznym w sferze odczuć fizycznych niewiele narkomanów jest w stanie zaprzestać używania heroiny bez pomocy lekarzy specjalistów. Jednak pomoc taka jest przeważnie niedostępna w Europie zachodniej. W Szwecji, gdzie liczba narkomanów używających heroiny oceniano na dwa tysiące istnieje tylko jeden ośrodek zajmujący się rehabilitacją narkomanów. Może on obsłużyć jedynie 10 pacjentów w okresie letnim. W Niemczech zachodnich, gdzie 50 osób zmarło już w tym roku na skutek nadużycia heroiny, nie istnieje ogólnopolski program zwalczania narkomanii.

I co gorsza, istnieje tylko 15 ośrodków rehabilitacyjnych dysponujących 30—40 łózkami. Jak stwierdza jeden z ekspertów, społeczeństwo nie wie, jaka różnica istnieje między haszyszem, a heroina.

Nawet w Wielkiej Brytanii, która jest miejscem najbardziej światłej polityki w zakresie zwalczania narkomanii na świecie, wielu narkomanów jest pozostawianym własnemu losowi. Do roku 1968 brytyjskiemu narkomanowi wystarczało jedynie odwieńdzenie prywatnego lekarza dla uzyskania regularnego recepty na heroinę, czy też inny narkotyk, od którego był uzależniony. Wszystko to się zmieniło, kiedy rząd brytyjski zaczął podejrzewać, że lekarze przepisują nadmierne ilości narkotyków i zmienili dotychczasowe zasady na program ośrodków leczenia. W teorii narkomani używający heroiny mogą nadal otrzymywać potrzebne im dawki po zarejestrowaniu się w odpowiednich instytucjach. W rzeczywistości jednak lekarze odmawiali wydawania recept na heroinę większej zarejestrowanych narkomanów, a wydają ją jedynie niezliczonym. Zamiat tego lekarze przepisują środki zastępcze, które zadowalają potrzebę fizyczne narkomanów, nie dostarczając skutków euforycznych.

W rezultacie tych zmian, jak stwierdzają brytyjscy eksperci, narkomani przyłączyli się do pęczniących szeregów młodych brytyjskich uzależnionych od barbituratów, lub włączyli się w

szybko rozrastający się nielegalny rynek nabywania heroiny, który przedtem nigdy nie istniał w Wielkiej Brytanii. Ze względu na to, że narkomani muszą obecnie płacić za swą używkę, heroina gwałtownie rozprzestrzeniła się na terenie kraju w ostatnich latach. Bob Nightingale, ekspert londyńskiego ośrodka rehabilitacyjnego, stwierdza, że najłatwiejszą drogą do uzyskania pieniędzy jest handlowanie heroina. Nie potrzeba jej narzucać ludziom, wystarczy że będzie ona dostępna. Z chwilą gdy jest dostępna, ludzie niewątpliwie będą chcieli jej spróbować.

Sa również mniej dochodzące do wiadomości publicznej sceny, o których Europejczycy dowiadują się czytając sensacyjne nagłówki w swych gazetach. 22-letnia studentka medycyny o imieniu Dominika wyskakuje z okna swego mieszkania, ponieważ nie była w stanie otrzymać swojej dziennej dawki. Grupa prerażonych lekarzy w Sztokholmie stwierdza, że dziecko urodziło się narkomanem w wyniku narkomanii matki. W RFN doradca do spraw narkotyków melduje, że nawet w małych miastach uczniowie szkół średnich i studenci są napaściwani regularnie przez dostawców heroiny, którzy zachęcają ich do zapoznania się z tym narkotykiem poprzez wchłonięcie go. Następnie, kiedy komórki swechowe zostają zrujnowane, młodzież ta zaczyna regularnie wstrzykiwać sobie heroinę.

Sensacyjne nagłówki gazet spowodowały przynajmniej to, że wzrasta świadomość publiczna w Europie zachodniej i rozumienie wagi problemu.

„Jest rzeczą pewną, że celem powinno być kolektywne działanie wszystkich odpowiednich ministrów w Europie, aby zmniejszyć handel narkotykami”.

Niemieckie władze francuskie, jak i niemieckie naśladowały walkę przeciwko szmuglerom wiozącym narkotyki przez granicę. Reagując na znaczny wzrost napałów rabunkowych wykonywanych przede wszystkim przez narkomanów, szwedzka policja skoncentrowała działania wydziałów zwalczających narkotyki wyłącznie na heroinę.

Wzrost czujności przyniósł pewne rezultaty. W ubiegłym miesiącu policja w Rotterdamie przejęła 120-kilogramowy transport azjatyckiej heroiny. Ponadto policja holenderska wydalila z kraju 400 Chińczyków podejrzanych o działalność szmuglerską. Jednakże władze nie są w stanie stwierdzić, czy „powiazanie azjatyckie” jest bliskie zalamania, ani nawet — czy plaga heroiny osiągnęła punkt szczytowy. Wręcz przeciwnie, większość faktów wskazuje, że heroine obecnie łatwiej otrzymać na ulicach i boiskach szkolnych w zachodniej Europie, niż kiedykolwiek przedtem i że coraz więcej Europejczyków jej używa. Co smutniejsze istnieją dowody, że oskarżenia tak często słyszane przez Amerykanów odwiedzających Europę, że Ameryka jest terenem narkomanii, która nigdy nie dotrze do starego świata, okazały się niesłuszne i Europa zaczyna prześcigać Amerykę.

Renowacja Piotrkowa Tryb. trwa

Trwała prace związane z przywróceniem do dawnej świetności zabytkowego kompleksu miejskiego w Piotrkowie Trybunalskim. Po zakończeniu w ub. roku prac przy XVII-wiecznym Rynku Trybunalskim, obecnie roboty koncentrują się głównie na osiadłościach z rynkiem uliczkach. W bież. roku nowe elewacje których kolorystyka została uzgodniona z konserwatorem zabytkowych, otrzyma kilkadziesiąt starich, zabytkowych obiektów Piotrkowa Tryb.

Niestrudzony twórca

Po blisko 50 latach pracy twórczej, poeta, powieściopisarz, krytyk literacki, wydawca i nauczyciel — Robert Penn Warren pozostał najbardziej wszechstronnym człowiekiem pióra w Stanach Zjednoczonych. Pisarz, który przekroczył siedemdziesiątkę, jest nadal równie płodny co w latach młodości. Wskazują na to jego najnowsze utwory opublikowane w USA: tomik poezji który zawiera wiersze napisane w ciągu ostatniego roku oraz nowa powieść „Miejsce do którego się przychodzi” („A Place to Come to”).

Jako powieściopisarzowi największy rozgłos przyniosła Warrenowi książka „Gubernator” przełożona na polski przez Bronisławę Zielińską, w której autor przedstawił historię i wydarzenia polityczne z lat trzydziestych w stanie Luizjana. W swej najnowszej powieści nie ograniczył do rozległych horyzontów, choć i tu interesuje go relacja między dniem dzisiejszym i przeszłością stanów południowych USA.

20-lecie „Tramblanki”

W bież. roku mia 20 lat od powstania zespołu pieśni i tańca „Tramblanka” który rozśławia piekno opoczniewskiego folkloru w kraju i za granicą. Zespół powstał w 1957 roku z inicjatywy pracowników Zakładu Płetek Ceramicznych w Opocznie. Zespół przygotowuje się obecnie do występów w Sered na Weerzech. „Tramblanka” składa się z 16 par tańcowniczych i 6-osobowej kapeli pod kierunkiem Mariana Po-neckiego. Dłusoletnim choreografem zespołu jest Władysław Lewandowski.

PLASTYKA

MOZAIKA Z ROGU OBFITOŚCI

Sugestywność i ostrość stawiania malarskich problemów były zawsze główną siłą obrazów Benona Liberskiego. Wystarczy przypomnieć ze sporej bibliografii i rejestru krytyki listę przymiotników składających się na frapujący wizerunek malarza: brutalnie estetyczny, antimalarski, ascetyczny i poetyczny — metaforyczny. Kilka jest chyba szczególnie ważnych dla jego biografii. Po pierwsze: Liberski w swoim czasie — jak to natychmiast spostrzegli krytycy — wyprzedził pop — art lub też stworzył coś w rodzaju ekwiwalentu tej sztuki, (która odbiła się u nas sporym echem, ale nie wydała owoców). Dalej: jest ironizującym, skłonny do przekaskrawień rejestratorem codzienności, poetki „odpuśtych straganów”, mąd i upodobań człowieka z ulicy — nowej estetyki „tanich komiksów i plakatów”. Wreszcie — że w swoich poszukiwaniach zawsze był samotnikiem i indywidualistą, przynajmniej gdy chodzi o styl.

Eliminowanie szczegółu, prosta kompozycja, stosowanie czystego koloru, klauzonalizy-

ny kontur obrysujący formy — wyznaczają nieomylną odrębność jego malarstwa. Obrazy jak barwne kobierce, ekspresyjne, świadomie monumentalizowane — równocześnie są demonstracją możliwości posługiwania się bogatym repertuarem o znanej sile oddziaływania. Charakterystyczna „plakatowość” i skrótość jest zarazem formalnym chwyttem mającym ułatwić kontakt z odbiorcą. Ostentacyjna dekoratywność służy dla podpowiedzenia fabuły.

Przymiarkę do pop — artu czy komiksowej estetyki należy — jestem przekonany — traktować raczej jako konsekwencję historycznego już sposobu myślenia komentatorów sztuki, mocno obciążonego kompleksem. W katalogu otwartej niedawno w Łódzku BWA wystawy Henryk Anders bardzo przekonująco pisze, że „Dziś (..) Liberski reprezentuje przede wszystkim samego siebie: swój stosunek do świata”. Przy całej niezgodności krytyki wobec twórczości artysty jedno wydaje się pewne: zawsze tak właśnie było.

Indywidualność artysty wy-

rosła z realizmu, traktowanego jako główny sposób wyrażenia osobowości. Wszelkie formalne uproszczenia były zaledwie estetycznym kamuflażem, środkiem dla wzmocnienia ideowego podtekstu. Równie istotnym elementem wyrazu było programowe posługiwanie się (używając współczesnej nomenklatury) aluzyjną metaforą.

Podkreślenie tych momentów utwó, jak sądzi, zrozumienie ewolucji malarstwa Liberskiego; okazją ku temu jest właśnie łódzka wystawa o charakterze retrospektywnym.

Malowane przez niego współcześnie obrazy prezentują bowiem urodę niecodzienności. Płótna z ostatnich kilku lat, martwe natury i akty, zachowały klimat przenosi. Dla przykładu, „Martwa natura” z lampa naftowa, rozłożonym na stole z niebieskimi desek „Głosem Robotniczym”, chlebem i blaszanym kubkiem — składa się również z kowbojskiego rewolweru przyskającego różę. Można próbować semantycznej analizy, ustalić że np. chleb może oznaczać to co

oznacza, lampa — światłość, gazeta — poznanie. W tym kontekście rewolwer — będzie brutalnym symbolem agresji skierowanej przeciwko delikatnej urodzie. Można szukać całkiem innej znaczeniowej struktury, dyktowanej intuicją i doświadczeniem krytyka. Lecz jest w tym również inna, łatwo zauważalna nuta: uszczypliwy żart. Filmowe symbole zdobywcy mężczyki i uległej kobiecości to atrapy: straszak i sztuczny kwiat, w przekorny sposób obec rzeczywistości nakreślonej za pomocą chleba, kubka i gazety.

Weześniejsze, słynne pejzaże przemysłowe — były jakby próba dokumentowania fascynacji społeczeństwa uprzemysławiającego się; ich autentyzm wynikał z „odkrycia” sugestywnej mocy wielkich maszyn, które człowiek budował i obsługiwał. Współczesne martwe natury przekazują nastroje społecznej konsumpcyjnej, jak gdyby ułożone były z przedmiotów wyspanych z roku obfitości. Leniwe dziewczyny — bohaterki aktów — o pełnych kształtach i złościbrazowych ciałach, przykryte

serpentynami włosów; dziewczyny z wabiących oko reklam — przypominają o dostatku, letnich wakacjach na jachcie, mają pociągającą wymowę ekskluzywnych gadżetów.

Te obrazy są również drażliwe w wyrazie jak wszystkie, co od kilkunastu lat maluje Liberski. Ale brak im przecięż wyraźnego adresu, zagubionego gdzieś w stylizowanych i ornamentalnych zawilościach. Maja być zapewne prestrógą dla mieszczan, ironiczną demitologizacją — lecz bez emocji i bez angażowania na dłuższą uwagę.

Benon Liberski jest dziś przede wszystkim malarzem, doskonale posługującym się formą i kolorem, całkowicie świadomym ekspresyjnym walorów swojego stylu. Stara się wyrazić barokową obfitość, jakiś rubensowski esprit — egzemplifikację czysto malarskiego temperamentu. Wiecej tu, zdaje się, godność radości niż metaforyki — nieuchronnie kojarzonej przez innych malarzy z udawaną retoryką i donuractwem. Postępuje się realistycznym twórczym nałechnetni slega po stereotypowe wyobrażenia. Zaprzestaje tym samym naśladowania rzeczywistości — co nie przeszkadza mu tworzyć własną, bogatszą wizję świata.

ANDRZEJ MAJER

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDICH, WIESŁAW JAŻDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYŻMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI (sekretarz redakcji) Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRĄBSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGO RZELEC, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC.

Współczesny człowiek nieustannie jest atakowany przez informację. Docierają one do niego w miejscu pracy, w domu i na ulicy nawet. Docierają w książkach, czasopiśmie, gazetach, radiu, telewizji, w filmie. Docierają poprzez plakat, planszę, transparent czy sklepową witrynę. Dostarczanie współczesnemu człowiekowi niebywałego bogactwa różnorodnych informacji jest działaniem celowym, programowym i kierowanym. Działanie to nazywa się propagandą.

U początków Polski Ludowej termin „propaganda” miał częstokroć zabarwienie negatywne i był używany dla pomniejszenia wartości informacji, a nawet dla wykazania jej nieprawdziwości. Propaganda bowiem zawsze jest służebną w stosunku do ideologii i polityki i nie dziwnego, że w warunkach ostrej walki klasowej propaganda treści demokratycznych i socjalistycznych wywoływała różnorodne sprzeciwy ze strony tych, którzy tym treściami byli przeciwni, którzy nie chcieli poddawać się ich wpływowi. Te czasy mamy już dawno za sobą i dziś najczęściej dyskutujemy o wadach i zaletach propagandy, coraz głębiej rozumiemy jej sens i znaczenie dla kształtowania społecznej świadomości.

Propaganda jest szkołą politycznego myślenia, szkołą widzenia zjawisk, faktów i procesów społeczno-ekonomicznych z pozycji klasowych. Stara się ona przy pomocy różnych środków wyjaśnić odbiorcy otaczającą go rzeczywistość. Jest celowym użyciem wszechświatu, poglądów, opinii i teorii, które mają społeczeństwu wyjaśnić i pomagać w rozumieniu charakterystycznych zjawisk społecznych i gospodarczych w danym okresie. Z tego jasno widać, że propaganda zawsze jest podporządkowana celom politycznym i że zawsze musi być konkretna, odwoływać się do spraw i problemów aktualnie żywo interesujących odbiorcę lub wynikających z programów rozwoju społecznego, na które odbiorcy trzeba zwrócić szczególną uwagę.

Propaganda posługuje się różnymi środkami, w tym całym zespołem środków, które dadzą się ująć pod mianem propagandy wizualnej. Jest to też dość szerokie pojęcie, gdyż mieści się w nim po części i telewizja, i film, fotografia, nowoczesne systemy ilustrowania i wzbogacania przekazów słownych za pomocą przeźroczki, a także tradycyjna już dziedzina plastyki: plakat, plansza oraz wszelkie ulotki, transparenty, wystawy i to wszystko, co tworzy się dla codziennej czy też odświętnej dekoracji miasta lub wsi, ale też i zakładu pracy, instytucji, domu kultury, świetlicy. Jak z tego wynika i propaganda wizualna dysponuje wielką ilością środków. Ograniczmy się do spraw i problemów, co w miejscu pracy, na ulicy, na wsi ma oddziaływać i oddziaływać na nas wszystkich.

W hali fabrycznej obok wszelkich napisów informacyjnych rzuca się w oczy mnóstwo plakatów nawołujących do przestrzegania bezpieczeństwa i higieny pracy. Są one lepsze, gorsze, bardziej lub mniej sugestywne, ale statystyka wypadków przy pracy nie wydaje się potwierdzać, aby były nadzwyczaj skuteczne. Ilość wypadków przy pracy zależy bowiem przede wszystkim od warunków pracy, od stopnia nowoczesności techniki i technologii. Od dawna wiadomo, że im starsza fabryka, im trudniejsze warunki pracy, im starsze maszyny, tym więcej potencjalnych możliwości zdarzenia się wypadku. A jeśli te potencjalne warunki zderzyć z niskimi kwalifikacjami... Z tego wszakże nie wynika wcale, że plakaty nawołujące do przestrzegania bezpieczeństwa i higieny pracy nie są potrzebne, że nie jest potrzebne przypomnienie czelwиковi, iż nie posiada części zamiennych. Ale też to przypomnienie musi mieć odpowiednio sugestywną, agresywną nawet, formę.

Fabryka w swoim propagandowym oddziaływaniu stara się informować o tym, jakie ma osiągnięcia produkcyjne, ukazywać je na tle całej gospodarki, agitować do dobrej roboty, pokazywać tych, którzy mogą być przykładem dla innych oraz mobilizować do wykonywania aktualnych zadań produkcyjnych. Możliwość wypełnienia tych zadań propagandowych jest wiele, ale przede wszystkim korzysta się z wszelkiego rodzaju plansz, transparentów, gazetek, galerii portretów i wystaw, nie zawsze wykazując bogactwa pomysłów i różnorodności inicjatyw. Okolicznościowe gazetki i plansze wiszą niekiedy miesiącami, czekając na nową okazję, aby uściplić miejsce aktualniejszym. Transparenty pokrywa kurz, a hasła szybko wszystkim się opatrują, nie wywołując już żadnego wrażenia, żadnej emocji. I jest to podstawowy, najcięższy grzech przeciw wszelkiej działalności propagandowej.

Hasła powinny wyrastać z aktualnych potrzeb, powinny odnosić się do aktualnej rzeczywistości, budować o tej rzeczywistości właściwą świadomość. Powinny być lapidarne i komunikatywne, zmuszające do refleksji i mobilizacji. W okresie budowania władzy ludowej w Polsce hasło: „Ziemia chłopom!” miało nie tylko rewolucyjny sens, nie tylko siłę dynamitu, ale też było najbardziej lapidarnym streszczeniem społecznego programu na wsi. Dziś w zupełnie innych czasach nie zawsze powstają okoliczności do formułowania takich haseł, ale też hasło: „Polak to polak!” nie tylko odwołuje się do narodowych ambicji, do naszej narodowej dumy, ale też jest streszczeniem programu partii, programu zmierzającego do nadrobienia wszelkich za-

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W ZACZAROWANYM KRĘGU ZNAKÓW



Foto: W. Parys

stawiono na ulicach Łodzi kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt, rusztowań z reprodukcjami zdjęć łódzkich fabryk bądź z reprodukcjami obrazów czy innymi „malunkami”. Osobiście reprodukcje zdjęć odebrałem znacznie silniej niż wszelkie malowanki, które niekiedy grzeszyły brzydotą. Jakże by jednak nie były zastrzeżenia do tej formy dekorowania miasta z okazji święta państwowego, to trzeba wyraźnie podkreślić, że jest to kolejna pozytywna w istocie próba kompleksowego podejścia do problemu. Zerwano bowiem ze starą metodą partykularnego, często czerpiącego natchnienie w jarmarcznych i odpustowych formach, dekorowania miasta z okazji oficjalnej okazji. A była to kolejna próba, kolejne poszukiwanie, wskazujące, że kierunek działania jest obciążony, choć nie wolny od braków.

Propaganda wizualna nie może uciekać od złożoności naszego życia społecznego i gospodarczego. Musi być różnorodna, prowadzona szerokim frontem, gdzie obok budzenia dumy z tego co już zrobiliśmy, znalazło się miejsce i na wyknięcie tego, co robimy jeszcze źle, czego nie potrafimy, a czasem czego nam się nie chce z lenistwa, obojętności, nieświadomości, głupoty wręcz. Kiedy pod koniec 1976 roku przypominano, że „Piątego kwartału nie będzie”, to było to pośrednio atakowanie postaw każdego z nas, zmuszanie do zastanowienia się, czy praca w ten sposób, czy praca w ten sposób, że nam się „piąty kwartał” nie przyda? Kiedy ruszała Huta Katowice, to w

propagandowym działaniu nie tylko przypominaliśmy, że w 1985 roku Polska osiągnie 12 — 13 milionów ton stali rocznie, ale pokazywaliśmy też, co można zrobić z tony stali, ile jej potrzeba na wyprodukowanie samochodu, mieszkania, pralki, wagonu kolejowego, elektrowozu... I ten przykład głębiej i trwalej zapadł w ludzką świadomość.

Propaganda wizualna wszakże nie ogranicza się do hal fabrycznych, do zakładowych świetlic, domów kultury, wychodzi też na ulice. Wiele nowych łódzkich fabryk postaralo się, aby ich najbliższe otoczenie wyglądało estetycznie, aby znalazły się tam rzeźby i dekoracje. I chociaż mogłoby się wydawać, że to tylko troska o estetykę, to przecież zawiera się w tym również propagandowe działanie. W świadomości ludzi na przykład głęboko zapada obraz rzeźby stojącej przed „Polanem”, rodząc określone pozytywne skojarzenia na temat nowoczesności takiej fabryki. Dla mnie te skojarzenia mają większą wartość od wielu barwnie i nie zawsze pomysłowo pomalowanych ślepych ścian łódzkich domów, co ma upiększać miasto i być reklamą, a co niekiedy mijają się z celem.

W tym roku z okazji 1 Maja u-

do 1 Maja, a tej z 1 Maja do 22 Lipca...

Polski plakat cieszy się bardzo dobrą opinią i to zarówno plakat reklamowy, teatralny, filmowy, jak i polityczny. Tutaj jednakże, podobnie jak ma to miejsce przy konstruowaniu haseł, obowiązują pewne prawa, które powodują, że taki plakat musi rodzic określone, bo przecież zamierzone skojarzenia, emocje i refleksje. Plakat polityczny — tak można sądzić z tego co widzi się na ulicach — jakby zatrzymał się w zaczarowanym kręgu znaków, powtarzając je w nieskończoność, trawstując i przetwarzając. Ciekawy przykład podaje na ten temat Lesław Wojtasik w książce „Zarys psychologii propagandy”. W 1964 roku W. Zakrzewski stworzył plakat przedstawiający sylwetkę robotnika z kołem sterowym i napisem: „Partia”. W końcu 1971 roku Lesław Wojtasik przeprowadził badania nad recepcją plakatów rozpowszechnianych z okazji VI Zjazdu PZPR i około 15 procent badanych uznało, że plakat ten był przygotowany specjalnie na ten zjazd. Znak skomponowany przez Włodzimierza Zakrzewskiego funkcjonuje zresztą do dziś, a Zdzisław Długosz wykorzystał go przy tworzeniu okładki dla serii wydawniczej Książki i Wiedzy poświęconej doświadczeniom pracy partyjnej. Nie jest to zresztą jedyny przykład. Schematyczny zarys granic PRL, godło państwowe oraz barwy narodowe nasuwają najwięcej skojarzeń plastycznych, sugerując jakby poza tym kręgiem znaków nie było innych możliwości. Ale znaki takie, powtarzane w najróżnorodniejszych wersjach nie wywołują już pierwotnych emocji, nie budzą nowych refleksji i nie tworzą nowych skojarzeń, bo i tworzyć nie mogą, jako że zostały maksymalnie wykorzystane.

Propaganda jest służebną wobec ideologii i polityki. Propaganda wizualna również. Ale propaganda — jak to wynika z podstawowego jej założenia — nie może być ciągle taka sama. Jeśli zmieniają się warunki, cele polityczne, to zmieniać się musi i propaganda. Poza nacelnym nakazem szukania jak najbardziej odpowiedniej formy artystycznej, musi ona nieustannie odpowiadać aktualnym potrzebom. Skoro jest ona szkołą myślenia politycznego, to musi uczyć tego myślenia w określonych warunkach politycznych, społecznych i gospodarczych. Jej generalną wytyczną jest zawsze i będzie program partii, aktualnie kreślone przez nią zadania. VII Plenum KC PZPR postawiło przed całą partią zadania agitacyjne, zobowiązało każdego członka partii do tego, aby był agitator-em.

„Być agitator-em — czytamy w Tezach na VII Plenum KC PZPR — to znaczy umieć przekonywać ludzi pracy o słuszności polityki partii, wyjaśniać cele perspektywiczne i zadania bieżące, umieć przekładać je na język doświadczeń poszczególnych ludzi, zespołów pracowniczych, środowisk; to znaczy także umieć odważnie walczyć z poglądami i postawami antysocjalistycznymi i aspołecznymi, niezgodnymi z socjalistycznymi stosunkami społecznymi; to znaczy również umieć organizować ludzi do praktycznej realizacji idei i zadań partii”.

Agitacyjność powinna też cechować działalność propagandy wizualnej. W grudniu 1976 roku na narzędzie poświęconej ocenie dorobku propagandy wizualnej i nakreśleniu dalszych jej zadań, w referacie kierownika Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KC PZPR — Wiesława Klimczaka sprzecywanym zostały cechy agitacyjności w propagandzie wizualnej:

- osobiste zaangażowanie w realizację linii partii,
- jej bliski związek z życiem, z praktyką, z polityką społeczno-gospodarczą partii,
- konsekwencja i wytrwałość w dążeniu do wytkniętego celu,
- odwaga w głoszeniu poglądów, w manifestowaniu poparcia dla generalnej linii partii i konkretnych decyzji,
- aktywność w zwalczaniu przejawów wszelkiego zła i nieprawidłowości, godzących w interesy kraju, państwa i narodu.

W całości działania propagandowego propaganda wizualna zajmuje szczególne miejsce, jest bowiem środkiem powszechnie docierającym, stąd też powinna być otoczona szczególną troską. Nie można jej uprawiać tylko dlatego, że być powinna, że taki jest nakaz. Atakując informacjami odbiorcę w miejscu jego pracy, na ulicy, w czasie wypoczynku musi ona nieustannie szukać nowych form, odwoływać się do coraz to nowszych skojarzeń, budzić coraz to nowsze refleksje. Nie może się powtarzać, musi być coraz to inna, aby być coraz doskonalszą.

POLSCY SOCJALIŚCI

Im więcej wiemy, tym więcej jest znaków zapytania. W nauce jest to z pewnością stan normalny. Nasza wiedza o początkach ruchu socjalistycznego na ziemiach polskich pozycylna w ostatnim dwudziestolecu znaczne postępy. Ogłoszono wiele publikacji, wydawnictw źródłowych, monografi i pryczytników, w których wprowadzono do naukowego obiegu nowe fakty, sformulowano nowe koncepcje i uogólniające hipotezy, kilkakrotnie pokuszono się o podsumowanie całości problematyki. Próż badaczy polskich, ze zrozumiałych względów preferujących w swych badaniach tę tematykę, znaczny wkład wnieśli tu uczeni radzieccy. Ich to zasługa jest między innymi wykorzystanie nieznanych dotychczas źródeł archiwalnych, przechowywanych w archiwach radzieckich, mających niezmiernie istotne znaczenie dla poznania dzieł polskiego ruchu socjalistycznego. Poszukiwanie i wykorzystywanie nowych źródeł, to jednak w nauce historycznej nie wszystko. Każde odkrycie w tym zakresie w jakiejś mierze zmienia optykę widzenia badanych spraw, skłania do większej lub mniejszej rewizji dotychczasowych zapatrywań, do wprowadzenia do ustalonych — zdawałoby się — ogólnych takich bądź innych, niejednokrotnie bardzo istotnych korektur. Analiza, skrupulatne gromadzenie szczegółowych danych, przeplatane się wiać z pracą uogólniającą, z dążeniem do syntezy, do uzyskania przez naukę historyczną całościowego obrazu badanej przez nią dziełowej rzeczywistości.

Taką właśnie bardziej syntetyczną, aniżeli analityczną pracą, poświęconą początkom dzieł polskiego ruchu socjalistycznego, jest książka N. S. Jaźborowskiej i N. I. Bucharina, zatytułowana: „U źródeł polskiego ruchu socjalistycznego”, opracowana w Instytucie Międzynarodowego Ruchu Robotniczego Akademii Nauk ZSRR i opublikowana w styczniu 1976 roku przez moskiewskie wydawnictwo „Nauka”. Autorzy postawili sobie na celu przedstawienie dzieł powstania i działalności pierwszych polskich — organizacji socjalistycznych, zarówno w kraju, jak na emigracji, zbadanie ich rozwoju ideowego, politycznego i organizacyjnego. Uczynili to w oparciu o obszerną podstawę źródeł rękopiśmiennych i drukowanych oraz literaturę przedmiotu. Na wstępie do swej książki autorzy powiadają: „celem pracy jest kompleksowe przedstawienie zajmujących szczególne miejsce w historii walki klasy robotniczej procesów narodzin i rozwoju ruchu socjalistycznego, wypracowywania jego linii politycznej i postawy ideowej, składających się na tradycje walki rewolucyjnej, będąca do dzisiaj składową częścią ideologii klasy robotniczej”.

Tego rodzaju całościowe ujęcie problematyki pozwoliło autorom podjąć zasadniczej polemiki z poglądami, głoszonymi w ośmiennictwie anglosaskim i polskim na emigracji, dotyczącymi charakteru polskiego ruchu socjalistycznego w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego stulecia. Chodził mianowicie, jakie miejsce zajął w nim marksizm, wyrastający z ideologii socjalistowskiej, w stosunku do innych jego nurtów, których znaczenie bywało niejednokrotnie przeceniane. Mając rację autorzy radzieccy kładą nacisk, że problemy początkowego okresu polskiego ruchu socjalistycznego stały się przedmiotem walki ideowej, której warunki wymagały bardziej aktywnego, niż dotychczas, włączenia się do polemiki badaczy — marksistów. Pod tym względem stanowisko omawianych autorów radzieckich pozostaje w pełni zgodności z aktualnymi pracami historyków w Polsce Ludowej.

Książka I. S. Jaźborowskiej i N. I. Bucharina, tak samo jak inne prace o rozmachu syntetycznym, dotyczące początków dzieł polskiego ruchu socjalistycznego, skłania więc także do refleksji na temat przyszłości naszych badań w tej dziedzinie. Wiemy już dziś wcale sporo, ale chcielibyśmy znać jeszcze więcej i dlatego poszukujemy sposobów i środków rozszerzenia naszej wiedzy. Taką jest normalna droga rozwoju badań naukowych, również i w historii.

ANDRZEJ F. GRABSKI

ZDZISŁAW JASKUŁA

POEZJA

to, że żyjesz codziennie, że codzienność męczy,
że zmęczony budzisz się w środku dnia z twarzą quidama,
(w środku nocy nie możesz jej zapomnieć),
to, że jednak zasypiasz i quidam ginie na targowisku
świata, ale nie jest to mój świat
a zaledwie nieruchomy punkt
w atlasie anatomicznym,
to, że budzisz się z tego snu z własnym imieniem na końcu
języka,
że w słowniku tego języka szukasz dla siebie odpowiedniego
słowa,

nagle w pamięci znajdujesz spójnik i, i
odkrywasz, że to właśnie on
scala twoje bezimienne ciało z bezcielesnym imieniem
po długiej rozłące.

to, że nie znajdujesz spójnika i, a
tylko jedno z zapomnianych słów, być
może wielkie jak rzeczownik abstrakcyjny prawda,
to, że to nie słowo, ale twoja krew
karmiąca serce Europy,
że boli cię serce, znów
boisz się, aby nie zaskoczyło cię we śnie

Nic,
które będziesz musiał wypełnić własnym ciałem
jak wiersz, które
wypełni cię, wyrazi
najpełniej w trybie bezwzględnie orzekającym,
w czasie, który nie cofa się
przed niczym,

to, że to nie tryb a koło, np.
koło historii, które lamie i zalamuje,
spływa z niego czerwony obłok
(jesteś w tym samym punkcie atlasu świata),
to, że nie ma serca,
że pod piątym żebrem słyszysz miarowe kroki ojczyzny
i to, że w marszu zwartychwstaje quidam i
pisze anonimowy list, w którym znowu grozi ci swoją własną
śmiercią,

także i to, że jest to jedyny głos, jaki do ciebie dociera,
jeden głos jaki do ciebie dociera,
mowa ojczysta, która nie pyta, lecz odpowiada.

TOMASZ SOLDENHOFF

JAKAŚ ŚWITAJĄCA...

Jakaś switająca chciała być ziarenkiem wiersza,
lecz jest koldrą, co nie dała ciepła
należnego mnie, w tym miękim, ale
niegdyś moim krajobrazie —
Czy miała to być kobieta młoda samotna nad stawem
modrej wody, czy myśl o poranku
samogwałtu, gdy czarna babka erotyczna wyszła już ze snu,
albo model specjalny mercedesa, którym pewien góral
chce ze mną ukraść Rembrandta w czynnie społecznym Polsce...
Może donośnie mądry głos jakiegoś poety, cytat
oszaliamiający...?

Nie wiem. Jest wiele możliwości.
Gdy nagle
myśl
wychodzi
z pozorów
i lgnie do mnie ściśle,
widzę,
że nie może się to stać we śnie
ani też na jawie,
lecz w trzecim chyba, jakimś innym wymiarze,
o którym na razie nie wiem. Nie przeczuwam. Nie śnię.

1975

Samotnik od spotkania z Teresą
pracował po szesnastu godzinach
dobre. Zapisał wszystko, czego był
świadkiem, a także to, co według
logiki powinno się zdarzyć w nastę-
pnie tego, co było. Po raz już nie
wiadomo który pytał sam siebie: ja-
ka jesteś, moja miłości, święta czy
sprzedajna, duchowa czy cielesna. Ze
skrajności wpadał w skrajność. Szu-
kał odpowiedzi i nagle znalazł ją z
siebie wyszeptaną: jesteś głodem mego
ciała, w kwiatach wyobraźni. Fascy-
nowała go dwucistość spinająca te
skrajności natury w jedną celową
całość. Ta metafora trafnie ją wy-
rażała, tak mu się przynajmniej wy-
dawało. Dziesiątki razy próbował
znaleźć wyraz dla swoich na ten te-
mat idei, ale dopiero spotkanie z Te-
resą, żartobliwe potraktowanie wła-
snych marzeń i doświadczeń pozwo-
liło mu zebrać w całość niespójne
dotąd myśli. Udało mu się, jak są-
dził, z praw obowiązujących parę —
mężczyznę i kobietę — wywieść pra-
wo, które powinno rządzić współży-
ciem narodów. Polityka również mo-
że być moralna pod warunkiem, że
przeciwnicy wiedzą o sobie wszystko,
szanują swoją odrębność, wyrzekają
się wszelkiej we wzajemnych stosun-
kach przemocy, rzem zobowiązują
się do opieki nad słabszymi, nad
gwałconą wciąż przez ludzką przy-
rodę. Zabawa w układanie prawideł
gry, etyki miłości zbliżała się szybko
do końca. Książka liczyła już 98
stron. Pozostało do napisania 30—40,
nie więcej. I wszystko, o czym mar-
zył, zostanie zamknięte. Mógł już
przewidywać zakończenie: wygra —
przegra — przegrają wszyscy. W tych
trzech — czterech słowach mieścił się
finał. Postanowił jednak niczego nie
uprzedzać, niech zakończenie napisze
Teresa sama swoimi decyzjami. On
będzie tylko świadczył o prawdziwie,
a czytelnicy niech go osądzą, czy po-
stępował słusznie; czy kochał Teresę?
chciał wskrzesić dawną sztubacką
miłość, powrócić i rozejrzeć się po
domu własnego dzieciństwa. Nieste-
ty, jak brat z bratem, siostra z sio-
strą, tak te miłości różniły się o-

wobec tego, co nie nasze, nie moje,
odrębne, z niewiedzy, a może... może
przede wszystkim z nieznajomości
siebie.

Z rozmyślań brutalnie wyrwał go
dzwonek. Otworzył szeroko drzwi,
uśmiechem pokrył żal za utraconą
chwilą refleksji. Dwa zaprzyjaźnione
małżeństwa zmówiły się, żeby wspólnie
odwiedzić Samotnika. Wprowa-
dził przyjaciół do pokoju, zaczął aż
się rozgłoszczać, zajmując miejsca, do
których przywykli, i przepraszając
wyszli do kuchni nastawił w ma-
szynce kawę, zaparzył świeżą herba-
tę. Powrócił, pchając przed sobą ba-
rek. Pytania: co się z tobą dzieje?
zamknąłeś się jak borsuk! zapomnia-
łeś o przyjaciółch — i podobne
krzyżowały się w powietrzu, przela-
tywały mimo uszu Samotnika. Ta
wizyta wyraźnie była mu nie w porę
i wnet go zaczęła męczyć, ale nie
mógł tego pokazać. Po krótkiej wy-
mianie powitalnych pytań, na które
nigdy nikt nie oczekuje odpowiedzi,
przyjaciele przystąpili do totalnego
ataku na naszą kochaną rzeczywistość:
społeczną, gospodarczą, polityczną.
Późniejcało ich stanowisko Sa-
motnika, który podobne rozmowy u-
ważał za najgroźniejszą chorobę cy-
wilizacji XX wieku. Gdziekolwiek
był, we Francji, w Hiszpanii, Szwaj-
carii, Niemczech — niezależnie od
stopnia zamożności — spotykał się
z tym samym niezadowoleniem, po-
dobną argumentacją: braku porząd-
ku, niegospodarności, perspektyw na
przyszłość. Przerwał im sucho: kiedy
odwiedziłem Grenoble po 33 latach,
spotkałem przypadkowo na ulicy
przyjaciela z młodości, Francuza.
Wyciskał mnie, wycalał; ucieczony
powiedziałem: myślałem, że spot-
kam się w słoneczny dzień, a tu
masz taką pluchę. — Co się dziwisz?
Czy przy takim rządzie może być
lepsza pogoda? Przyjaciele zaśmiali
się: im dobrze narzekać, wszystko
mają, to nie to, co u nas.

A więc mamy dwie grupy narze-
kających: tych — którym narzeka
się dobrze i tych — którym gorzej.

KAROL OBIDNIAK

DZIEWCZYNA, WYOBRAŹNIA, MIŁOŚĆ

(Fragment powieści)

gromnie. Tamta, pierwsza — była
ślepa, spontaniczna, ta — wyrzumo-
wana do przesady. Tamta była czystym
pożądaniem, ta — absurdalnie
przeestetyzowana. Z jednej strony
dzieło oszpecone intelektem. A oba
piękne. Które z nich piękniejsze? Czy
zawsze to, które się staje? Czas pew-
nie pokaże, o ile zdąży...

Była sobota, godzina dwudziesta.
Dokuczał mu głód, ale postanowił
pościć, pościć aż do... Jeszcze raz
przejrzał gęsto zapisane białe kartki
papieru. Kiedy je zaczynał wypeł-
niać tysiącami znaków i znaczeń, nie
przypuszczał, że będą mu tak po-
mocne. Sięgając po odpowiedni tekst,
mógł w każdej chwili przeprowadzić
analizę postaci i określić ją
trafniej niż by to ona uczyniła sa-
ma. Ten dokument pozwalał mu wy-
strzeżać się błędów, widzieć słabo-
ści rywala, ułatwiał poznanie Teresy.
Niespokojnie przeszedł po pokoju.
Bez umiaru idealizuje Teresę,
pomyslał. I chociaż rozumiał, że jest
to najwzwyżajniejsza słabość miłości,
upiększanie tego co bliskie, uświęco-
ne tęsknotą — bał się, że bardziej
przynajmniej uczuciem do Teresy wyob-
rażonej niż do tej z krwi i ciała:
Teresy — Magdaleny. O te rafa
wyobrażeń, wznoszonych w trudzie
przez kochanków, ileż rozbiło się
pięknych miłości! Ile przyniosły one
swoim twórcom rozczarowań. Jeśli
chcę, rozmawiał dalej, żeby moja
miłość była zdrowa, nie wolno mi
dopuszczać do dalszego idealizowania
Teresy. Warta jest tego, żeby ją ko-
chać taką, jaka jest, bez sztucznego
upiększania, wymazywania wad i za-
stepowania ich wymyślnymi zale-
tami. Kochaj ją taką, jaka wzbudziła
twoje zainteresowanie, każda inna
Teresa przyniesie ci rozczarowanie.
Jak często ludzie o tym zapominają,
nie kochają prawdziwych kochanków,
a tych, których sobie w ich miejsce
wyobrazili! Skąd się ten błąd w sztuce
współżycia bierze? z nietolerancji

Nie, są jeszcze ci, co nie nie mają.
A nie — ci nie mają czasu na nar-
zekanie: głód im nie pozwala. Żeby
być ze wszystkim niezadowolonym,
trzeba już coś posiadać, trzeba prze-
de wszystkim mieć wielkie mniema-
nie o sobie. Goście zwarli się i so-
lidarnie rzucili na Samotnika. — Mój
drogi, to, co ty mówisz jest nie do
przyjęcia. Jak to? Chcesz przejść
przez życie z zamkniętymi oczyma,
klaskać razem z tymi, co wszystko
chwala, być jednym z nich, ślepcem,
który udaje, że widzi? Mówili dużo,
rozgorączkowani, mnożąc dowody lo-
kalnej i wojewódzkiej głupoty, ziej
woli, wytykając oczywiste braki i
błędy z widoczną satysfakcją. Słu-
chał ich i marzył — o dziewiętnasto-
wiecznym salonie, gdzie rozprawiano
o sztuce, filozofii, prawiono sobie
złotliwości, gdzie talenty błyszczały
surową, nie zepsutą przez konta uro-
dą.

Czym dzisiaj różni się siedmiokla-
sista od wielkiego naukowca? Noszą
to samo fabryczne ubranie, koszule,
buty, a jedyna bariera, wzniesiona
przez wjeżdżające, pracowitego
została obalona przez malkontentwo.
Dziś można być analfabetą, niczego
o świecie nie wiedzieć, umieć tylko
dobrze narzekać, żeby znaleźć się i
być dobrze widzianym w każdym
towarzystwie. Oto tajemnica naszych
salonów! Brak czasu do rozmyślań
zaprowadził nas wprost do rozmów
o niczym. Każdy taki wieczór na-
rzekania jest identyczny, powielany
setki razy, potrafi zabić każdą indy-
widualność. Co za moda! A może
choroba? epidemia? megalomania?
Przecież każdy z narzekających u-
waża, że to samo, co u królowej an-
gielskiej powinno być i na jego stole.
Jakże łatwo przy tym zapomnieć o
własnych brakach, nieuctwie, leni-
stwie, jak łatwo jest chcieć więcej,
stać więcej, być nienasyconym jak
konkwistador: ach, uśmiechnął się:
oto są konkwistadorzy XX wieku,
malkontenci z dyplomami Sorbony,

Yale, UJ, Oxfordu, siedmioklasiści.
Was nikt nie pokona, żaden dobro-
byt, myślał. A przyjaciele wciąż no-
wych dostarczali dowodów, więc słu-
chał ich z doskonale udaną powagą.
W pewnej chwili przerwał: bardzo
was przepraszam, znamy się od lat,
pamiętacie, że jeszcze nie tak dawno
przyczyna wszelkiego zła byli działa-
cze, niedouczeni ćwierćinteligenci,
którzy mieli odwagę zasłużyć na
wojnie szacunek stracić przy odbu-
dowie. Dziś już ich nie ma, przyszedł
młodzi, wykształceni przez nas i
cudze uniwersytety. — Tak, ale tam-
ci zostawili po sobie system, wpadł
jeden z przyjaciół. Nie dał się złapać,
nie zaczął wyliczać omyłek popo-
pełnianych przez młodych projektan-
tów, naukowców, pianistów, którzy
mając nieskończenie większe możli-
wości, popełniają jeszcze większe
błędy. Widocznie życie bezbłędne,
moi kochani, istnieje tylko w utopii,
człowiek jest omylny, czasami szko-
da, że tak bardzo, podobnie jak sa-
ma natura. Pomyslał, że potrzebo-
wała milionów prób, setek tysięcy
lat, żeby wyhodować takiego kata,
niszczyiciela, którego my nazywamy
homo sapiens. — W ten sposób ro-
zumuję wszystko wytłumaczysz.

Nie wszystko. Przypuszczał, że na-
leży krytykować to, co możemy sa-
mi naprawić, na co mamy bezpo-
średni wpływ, walczyć u siebie w
pracy z tym, co wydaje nam się złe,
spierać się otwarcie z tymi, którzy
tego nie rozumieją. Krytykować
wszystko mogą tylko głupcy, a świat
jest taki piękny, a życie takie jedno-
jedne. Czy warto tracić czas na
takie rozpraszanie swojej osobowości?
Kto z was był na wiosnę w parku?
patrzył na przebudzenie przyrody...
Prześlał mówić. Usłyszał ciszę. Goście
siedzieli sztywno. Dobrzy, wartości-
wi ludzie, pracowici, mądrzy, wy-
kształceni. Jaka szkoda, że tak gło-
boko przeżarła ich ta choroba. Nagle
zmienił temat. Moi kochani, co po-
wiecie na to, że Burton po rozwodzie
z Liz ożenił się z młodą, osiemna-
stoletnią dziewczyną? — Idiota!
krzyknęły panie. I całą złość za

Dalszy ciąg ze str. 1

fowej, to znaczy odpowiednią figurę, dużo energii i świetną znajomość terenu. Powiedziała bez wahania:

— Eugeniusz Klimek w Łaziskach, trzy kilometry od Dłutowa. Przejmujący hodowca bydła. Jedyny w gminie prowadzący stację kopolacyjną ogiera. Powiększa wciąż gospodarstwo, zaczynał od dziesięciu hektarów, dzisiaj ma dwadzieścia. Syn wrócił z wojska i został na gospodarce, nawet Belchatów go nie skusił...

Przejechaliśmy kawałek lasu i zatrzymaliśmy się przed okazałym, piętrowym budynkiem. Kamienica jak na wiejskie warunki.

Gospodarza zastałem w podwórzu. Stał przy płotku i obcinał włos czarnej szcztotki na długim kijku.

— Trzeba będzie panu trochę przeszkodzić, panie Klimek — powiedziała Janina Majda.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem. — Trudno, jak trzeba... Roboty nawal, przyciąłem szcztotkę, bo jest trochę słońca, to warto smarować

nauczyłem. Potem wywieźli mnie na roboty do Austrii. Tam, u baukerki, były krowy. Pracowałem przy nich i polubiłem te zwierzęta. Przy świńkach nie umiałbym tak chodzić, jak przy krowach.

— A od czego pan zaczynał po powrocie?

— Zastałem, jak to się mówi, obraz nędzy i rozpaczy. W porównaniu z tym gospodarstwem w Austrii, gdzie wszystko obejrzałem, bo wciąż podpatrywałem, to moja ojczymna wydawała się brudnym, zaniedbanym chlewikiem. Dom spalony. Została stara stodoła i drewniana obórka. Koń, jedna krowa i żelazniak. Wziąłem się za wywózkę drewna z lasu, zarobiłem trochę i zacząłem budować. Najpierw oborę, po pięciu latach postawiłem stodołę, później dom.

— Co ludzie mówili?

— Śmiali się. Po co ty budujesz, mówili, i dla kogo? Wojna może być, albo kolehoz założą, tak gadali. A ja odpowiadałem, że nie trzeba myśleć, co się stanie. Bo ci, co tak na dwa razy wróżyli, nieźle się zbudowali. Przyszła starość, sił za-

siad obok mojej pszenicy, bo wierzył, że tylko tam mu urosnie. Dziwowali się, gdy zrobiłem kilka poletek i przez trzy lata wysiewałem na nich różne nawozy. A ja w ten sposób sprawdziłem, który nawóz mi najlepiej pasuje. Ja teraz, proszę pana z 2,16 ha łąk zbieram trzydziestci wozów po 15 kwintali siana.

Obok wraza starej obórki ciągną się nowe fundamenty. Tu powstał nowy budynek gospodarczy, z garażem i magazynem na nawozy. Bo jak rolnik ma zgromadzony zapas nawozów, to lepiej mu planować zasiewy, bez ryzyka.

— Przy okazji niech pan pochwali szefową służby rolnej. Był kłopot z saletra. Pani Majda stanęła przed prezesem GS, powiedziała mu do słuchu i saletra znalazła się.

Maly Zbyszek przespjuje żwir przez arte. Zieć, który jest murażerem, kończy fundamenty. Syn Mirosław rzuca obok wirującej betoniarki worek z cementem.

— Kawał chłopca — mówi szepem Klimek. — Uderza w konkury do dziewczyny w sąsiedniej wsi. Duże gospodarstwo, a dziewczyna ładna i

PODPATRYWACZ



Rys. Janusz Szymański-Glanc

dach. Ale proszę — ruchem ręki zaprosił nas do środka.

Weszliśmy na ganek. Janina Klimkowa, cicha i skromna pięćdziesięcioletnia kobieta, nie włączyła się do rozmowy, zajęta myciem baterii baniek na mleko. W pokoju powitała nas zamężna córka, nieco zażenowana, bo jeszcze w papilotach. Pokój gościnny pięknie umeblowany, wielkie okno, szerokie, rozsuwane drzwi. Na ścianie plaskie, estetyczne kaloryfery eneradowskie. Woda też jest.

— Czym ten dom różni się od domu w mieście? — pytam.

— Windy brakuje — śmieje się Klimek. — A to mój najmłodszy, Zbyszek — wskazuje kilkuletniego, rosnącego chłopca, który wpadł na chwilę do pokoju.

— Wnuczek?

— Nie, mój syn. Zdał się, że palnąłem głupstwo. No, ale Klimek ma pięćdziesiąt czterech lat, widziałem o wiele młodszych dziadków. Aby rozwiązać zakłopotanie, pytam małego:

— Kim będziesz, Zbyszeku?

— Rolnikiem.

— A umiesz już coś zrobić w gospodarstwie?

— Mogę nawet pięć robót naraz!

— odpowiada rezolutnie. — Przy budowie też pomagam. Idę przespynwać piasek.

Eugeniuszowi Klimkowi śmieją się oczy, jego lekko odmrożona na polczkach twarz pokrywa rumieniec zadowolenia.

— Zbyszek to jest „na pocieszenie” — wyjaśnia.

— Na pocieszenie?

— Tak, Mirek ma dwadzieścia pięć lat. Jak się wżeni w duże gospodarstwo, to może odejść, a ten mały zostanie...

3.

A Klimek przejął gospodarstwo, gdy miał trzydzieści lat.

— Byłem dwunastoletnim chłopakiem, gdy umarł ojciec. Matka nie mogła poradzić w gospodarce, więc oddała w dzierżawę. A ja poszedłem do roboty u wuja. Ciężko było, ale nie żałuję, bo wszystkiego się

brakło, dzieci popatrzyły na rozwalające się budynki i nie widząc żadnych perspektyw, odeszły do miasta.

— Jeśli inwestuje się w gospodarstwo, trzeba mieć jakieś zaplecze, odpowiedni areal ziemi.

— Matka wyszła po raz drugi za mąż i wzięła swoją część. Była też do podziału siostra. Zeby mieć trochę łąk kupiłem najpierw w Chynowie 2,5 ha, potem nabyłem hektar od sąsiada, przez miedzę i tak po trochu dociągnąłem do dwudziestu hektarów. Jak córka wychodziła za mąż, zaprosiłem na weselę tę baukerkę, u której pracowałem w czasie okupacji. Zeby zobaczyła, jak jest u mnie. Bardzo jej się podobało. Zaprosiła mnie do siebie. A do mnie to przyjeżdżają rolnicy aż z Widawy, żeby podzielić się doświadczeniami...

4.

Pani Janina Majda oświadcza.

— Klimek jest skromny, nie chce za wiele mówić. A przecież znajduje czas na wszystko. Nawet chuligani mu się kłaniają, bo to członek kolegium do spraw wykroczeń przy naczelniku. Jest przewodniczącym Koła Hodowców Bydła, pierwszy zaczął kontraktować mleko.

— Ale ile się przez to nastuchałem od ludzi! Za to później niejednemu przychodził, żeby mu załatwić kontraktację.

— Ogiera też pan trzyma?

— Zamiłowanie rodzinne. Dziadek i ojciec trzymali, to ja też. Ale ostatnio coraz mniej klaczy. Może to już ostatni ogier? Maszyny przychodzą...

— Ale rolnik nie musi mieć wszystkich maszyn?

— Plug, kultywator i bronę musi mieć — stwierdza Janina Majda.

— Tak — przyświadcza Klimek. — Natomiast te bardziej drogie i skomplikowane można wypożyczać od sąsiadów.

— Dobrze pan żyje z sąsiadami?

— Nieźle. Wprawdzie śmiali się, gdy zasiałem pszenicę, bo nikt tutaj nie siał, ale gdy zobaczyli, że plon jest dwa razy wyższy niż z żyta, przekonali się. Jeden chciał nawet

bystra, ukończyła kurs na ciągnik. Bedzie chyba weselisko...

A we wsi mówią, że Klimek zrobi drugiego fiata, bo jednego już ma...

Wchodzę do zmodernizowanej obory. Klimek kupił nową dojarę, bo stara nie „wyrabiała” się przy dojeniu 180 litrów mleka. Obok pomieszczenia na dojarę postawił ubikację. Jest sześć kopców dla cielaków i osiemnaście stanowisk dla sów. Poidea automatyczne, krowy odchylają kłapki, naciskają przycisk i woda leci do oporu.

— Jak prądu zabraknie, trzeba pompować ręcznie. Woda w hodowli najważniejsza, ale założyli ją tylko Kmieć i Szymak. A inni płaczą, że bydlę choruje...

— Dlaczego?

— Trzeba dźwigać dziesiątki wiader. Zimą wypędzają rozgrzane krowy do studni i choroba gotowa...

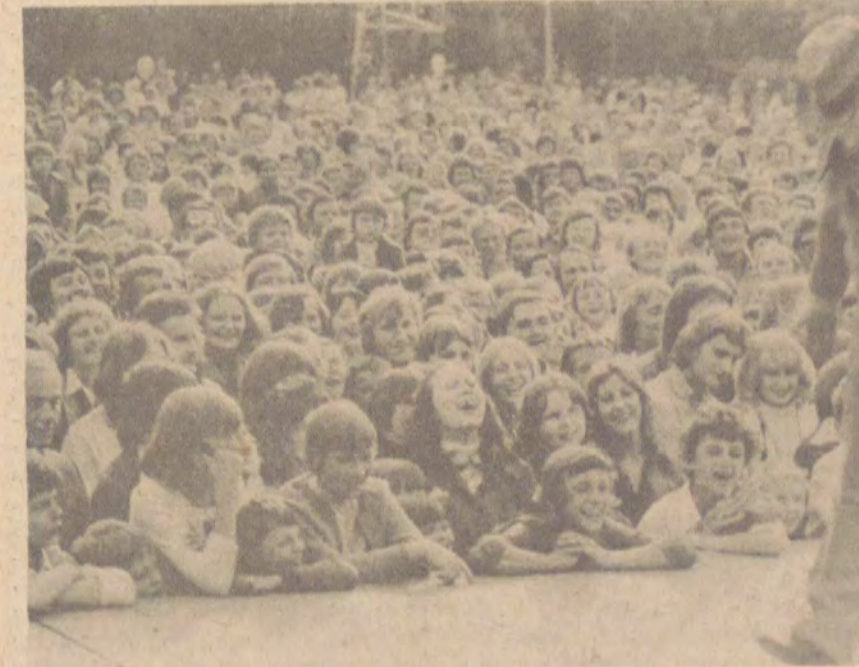
— Jaki powinien być dobry rolnik?

— Musi być wszystkowiedzący. Ja na przykład sam zaszczepiłem sad. I murowałem. I ciągnikiem jeździę, na elektryce się znam. A w ogóle to rolnik musi być podpatrywaczem.

Ludzie śmiali się, że niby po co jeździę na różne wycieczki, tracać czas i pieniądze. Nie nie straciłem. W Bratoszewicach podpatrzyłem, jak oni tam mają urządzone pastwiska kwatrowe. Wie pan, przedstawia się ogrodzenie, wypasa kawałek, i tak dalej... Kupiłem ostatnio dwa deby i będę groduł jeszcze 5 hektarów. Trzeba być po trosze wteryzarnem, żeby choć w minimalnym stopniu zapobiegać bieguncce u krów, bo wtedy obniża się wartość tłuszczu w mleku. Z sąsiadami warto dobrze żyć. Siano sam skoszę, zagrabię, potem pomogę komuś ciągnikiem, a on przyjdzie mi kopic siano. A z ciekawostek, proszę pana, to choćby fakt, że rolnik musi się znać na pogodzie, bo w telewizji prognoza nie zawsze się zgadza. Co to za rolnik, który gdy zapowiada się na deszcz, idzie na łąki roztrzasać siano? Nowoczesność, owszem, ale naturę też trzeba podpatrywać.

RYSZARD BINKOWSKI

ŚWIĘTO „GR”





"COLONIA DIGNIDAD"

Rys. Janusz Szajmański-Glanc

Dalszy ciąg ze str. 1

no, że wykrył go Interpol. Ostrzeżenie wszelkiej religijnej kamufaż i cała jego „filozofia” sprowadza się te- raz do frazesu: „służenie Bogu pracą”. Dzieci, i dorośli pracują na niego po 16 godzin na dobę, rzecz jasna, za darmo.

Majątek „misjonarsza” znajduje się w stanie pełnego rozkwitu. Posiadłość ma własny młyn, piekarnię, warsztaty mechaniczne, fabrykę, maszyni budowy dróg, ogromne farmy hodowlane, systemy elektroenergetyczne, całą sieć przedsiębiorstw rzemieślniczych, na których fasadzie kryje się mini-państwo nazistowskiego kroju, na którego czele stoi führer — Paul Schefer. Rządzą tu specjalne prawa przypominające te w obozach koncentracyjnych, „COLONIA DIGNIDAD” ma też własne cementarnie, na których grzebie się zmarłych, pomijając akcje drobiazgi, jak oficjalne świadectwa zgonu. Pierwsza została tam pogrzebana 16-letnia Ursula Schmidte. Za nieposłuszeństwo zakwalifikowano ją do kategorii „trudnych dzieci” i w trakcie „wychowywania jej po nowemu”, poddano torturom, których nie wytrzymała. Jako powód śmierci kierownictwo kolonii podało zapalenie płuc.

Szczególną rolę w życiu kolonii odgrywa lekarz, Gisela Seewald, która, jak zeznali niektórzy jej „pacjenci” stworzyła własną metodę „obrobki” podopiecznych środkami narkotycznymi i elektrowstrząsem. Metodę tę odczuła na sobie sekretarka zachodniemieckiego ministerstwa obrony, Vera M., która w 1965 roku przedostała się do kolonii w poszukiwaniu swego 16-letniego syna, podstępem wywiezionego do Chile. Według jej relacji, „doktor” Gisela Seewald przez dwa lata trzymała ją pod kluczem, w maleńkiej celi, uznając za umysłowo chorą. Była poddawana „kuracji” narkotykami i elektrowstrząsami. Jeszcze dziś, na skroniach Very M. są widoczne blizny od oparzeń prądem i chociaż od tego czasu minęło już ponad 10 lat, kobieta wciąż jeszcze ulega atakom chorobliwego strachu.

Ci, których kierownictwo tego obozu koncentracyjnego podejrzewa o zamiar ucieczki, noszą w dzień ubrania czerwone, a w nocy białe, oraz specjalne obuwie, pozostawiające wyraźne ślady. Niemniej w 1966 roku udało się uciec z obozu 44-letniej Wilhelminie Lienderman, która doznała do komisariatu policji w miasteczku Parrale, i opowiedziała, że trzymano ją 3 dni bez jedzenia i wody, szpiując narkotykami. W miejskim szpitalu lekarze stwierdzili oznaki zatrucia narkotycznego. Zawiezany z osady sekretarz Schefera, niejaki Schmidt, odwiózł kobietę do obozu...

Dopiero po dwóch nieudanych próbach udało się ucieczką z osady 16-letniemu Wolfgangowi Müllerowi. Dotarł do Santiago i opowiedział dziennikarzom o życiu w kolonii. Jego enuncjacje wywołały najbardziej gorące debaty w historii chilijskiej prasy. Powołano nawet specjalną komisję w celu zbadania reżimu panującego w nazistowskim mini-państwie Paula Schefera. W konsekwencji führer musiał się znów ukryć. Później jednak stało się oczywiste, iż szefowie „Colonii Dignidad” o wiele lepiej dawali sobie radę z miejscowymi władzami niż można było przypuszczać. (Działło się to przed dojściem do władzy rządu Jedności Narodowej prezydenta Al-

lende — red.) Poseł komunistyczny, Luis Teheda, który na znak protestu opuścił komisję śledczą, powiedział: „Większość posłów i wielu dziennikarzy byli wyraźnie przekupieni”. Aktywność komisji śledczej spada do minimum. W końcu zamiast Paula Schefera na ławę oskarżonych trafił Wolfgang Müller. Skazano go na 5 lat więzienia za kradzież konia, na którym uciekał z osady, i oszczerstwo.

Paula Schefera oficjalnie uważa się za „zaginionego bez wieści”, a nawet, według niektórych wersji — „za zmarłego”. Właśnie o tym „fakcie” poinformował pracowników ambasady RFN w Santiago przedstawiciel kierownictwa osady — Alfred Mathusen. Jednakże już od kilku miesięcy ten „żywy trup” ukazuje się ludziom osobiście, oprowadzając gości z wycieczek po swojej posiadłości.

Dziwnie jest także stanowisko ambasady RFN w Chile w tej sprawie. W ciągu 16 lat historii „Colonii Dignidad” pracownicy ambasady niejdnokrotnie stykali się z dowodami przetrzymywania w kolonii zachodniemieckich obywateli wbrew ich woli. Mieli wiele okazji i możliwości do osobistych rozmów z mieszkańcami posiadłości, choćby wtedy, gdy kończył się termin ważności paszportów. Co więcej, przedstawiciele Bonn nie szczędzili trudu, żeby uchronić kierownictwo kolonii od ewentualnych nieprzyjemności i wszystkie sprawy załatwiali z nimi osobiście, zapraszając je do Santiago, a nawet składając mu wizyty w kolonii.

Jeśli chodzi o Juntę chilijską, to odnosi się ona z wielką łaskawością do führerów posiadłości. Schefer i jego kohorta, jeszcze do przewrotu w 1973 roku pomagali prawicowej soldatesce. Führerzy kolonistów udostępniali swoją posiadłość na konsspiracyjne spotkania prawicowych oficerów. W przeciągu kilku miesięcy ukrywali w „Colonii Dignidad” faszystowskiego przywódcę terrorystów — Roberta Time, a w krytycznych dniach przewrotu dawali schronienie dzieciom śmiertelnych wrogów prezydenta Allende. Wśród nich były na przykład dzieci Sylwii Pianto, która jest dziś naczelny redaktorem gazety „Cronista” — tuby rządu Pinocheta.

Od tego czasu między „Colonią Dignidad” a Juntą, a także chilijską tajną policją — DINA zawiązały się bliskie, a nawet przyjaźielskie stosunki. W dni wolne od pracy w posiadłości ląduje śmigłowiec, którym przylatuje całe dowództwo DINA. Wtedy chłopcy z okolicznych domów mówią: „Prezydent Pinochet przyjechał do kolonii odpocząć”. W ubiegłym roku kolonijści zacieśnili więzy przyjaźni z Pinochetem, ofiarowując mu kosztowny prezent: najnowszy model Mercedesa.

O tym, jakie jeszcze inne usługi spełniają führerzy z kolonii dla Junt Pinocheta można się domyślić z opowiadań chilijskiego robotnika, Erica Zotta. W 1975 roku aresztowano go. W początku śledztwo prowadzone w katowicach słynnej „Villa Grimaldi” w Santiago, następnie w „Colonii Dignidad”. Chciano się od niego dowiedzieć nazwisk i adresów lewicowych studentów. „Torturowali mnie prądem elektrycznym” — opowiadał Zott korespondentowi „Sterna” — „Seans” trwał od 10 do 20 minut, następnie ponawiano pytania”. Więźnia przywiązywano do metalowej płyty, na głowę wkładano skórzany pokrowiec, „Caly czas obiewali mnie lodową wodą, żeby spotać działanie prądu. To było potworne”.

Technikę tortur, praktykowaną w „Colonii Dignidad” odczuł na sobie jeszcze jeden świadek, 29-letni student Luis Puzbles. Po torturach prądem elektrycznym wepchnięto go do ciasnej skrzyni i przetrzymywano w niej kilka godzin. Trzecim świadkiem jest kobieta, która prosiła o nie wymienianie jej nazwiska w obawie przed represjami wobec krewnych, pozostałych w Chile. Opowiedziała, iż w celi tortur słyszała niemiecką mowę. Stosując wstrząsy prądem doprowadzano ją do utraty przytomności, a kiedy ją odyskiwała, wstrzykiwano jej środki narkotyczne. Istnieje jeszcze wiele innych dowodów na to, iż w „Colonii Dignidad” torturuje się ludzi. Jednakże większość świadków mieszka jeszcze w Chile i obawia się represji.

Jedną z osób, ofiarą „piekła Dignidad”, mieszka w mieście Talca, 100 kilometrów na północ od niemieckiej kolonii. Powiedziała ona korespondentowi „Sterna”:

„Mnie, mego krewnego i jeszcze innych 50 mieszkańców naszego miasta wywieziono w nocy z domów agencji DINA. Samochodem ciężarowym wywieziono nas w kierunku południowym. Choć zawieszano nam oczy, wielu rozpoznało te drogi, bowiem wszystkim miejscowym ludziom zdarzało się nią jeździć nie raz. Orientowaliśmy się po dźwiękach przy przejeździe mostów, po wzniesieniach i spadkach terenu, i po tym także, jak długo jechał samochód po asfalcie, po kamienistej drodze, po polnych drogach... Wieziono nas do „Dignidad”. Wtrącono mnie do celi, przywiązano do metalowej pryczy przez którą przepuszczano prąd”.

I oto ambasador RFN w Chile, Erich Stredling, nie zauważył niczego podejrzanego w czasie swej niedawnej wizyty w „Dignidad”. Bossowie sekty przyjeźli go nadzwyczaj gościnnie. Popijano kawę i jedzono ciastka, śpiewał chór chłopięcy. Jednakże spotkania z korespondentem „Sterna” ambasador odmówił. Radca ambasady, Henning Leopold Hassel, wziął na siebie cały trud rozmowy z dziennikarzem. Przekazał wrażenia swego szefa z wizyty w kolonii w paru słowach:

„Panuje tam porządek i jest bardzo czysto — nawet w chlewie”...

Tłumaczył:
JERZY CZECH

DYMIJSJA „POGROMCY JAPONII”

General Douglas MacArthur był jednym z trzech amerykańskich dowódców (obok D. Eisenhowera i O. Bradleya), którym za zasługi odniesione w okresie II wojny światowej Kongres Stanów Zjednoczonych nadał najwyższy stopień wojskowy — general of the army, czyli rangę generała „pięciogwiazdkowego”. Sławę zdobył jako naczelnym dowódcą sił sprzymierzonych na Dalekim Wschodzie zyskując wówczas miano „pogromcy Japonii”. Właśnie on 2 września 1945 roku na okręcie liniowym „Missouri” w imieniu państw alianckich przyjął kapitulację tego kraju. Niebawem spłynęły nań nowe zaszczyty, został mianowany głównodowodzącym alianckich sił okupacyjnych w Japonii, która to funkcję pełnił do 1951 r. I właśnie u szczytu sławy i potęgi, wprawdzie już nieco nadwątlonej nieudaną interwencją w Korei, kiedy to pod flagą ONZ dowodził siłami zbrojnymi USA i państw zachodnich, został 11 kwietnia 1951 roku nieoczekiwanie odwołany ze wszystkich zajmowanych stanowisk przez ówczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Harry S. Trumana. Dymisja ta, jak i okoliczności jej towarzyszące, była przez długie lata nie wyjaśnioną zagadką, zaś decyzja prezydenta stała się przedmiotem licznych spekulacji i docieków, z których jednak żadne nie potrafiły jej wytłumaczyć w sposób dostatecznie wiarygodny. Szerokie zainteresowanie, jakie wzbudziła ta sprawa, nie tylko zresztą w USA, było spowodowane m. in. wielką popularnością, jaką cieszył się MacArthur, zwłaszcza w konserwatywnych i prawicowych kręgach społeczeństwa amerykańskiego; niektórzy z nich chcieli nawet wysunąć jego kandydaturę w wyborach na urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych. Czyżby zatem zagroził pozycji Trumana, czy ten ostatni dostrzegł w nim niebezpiecznego rywala? Dopiero niedawno cała ta historia doczekała się bliższego wyjaśnienia, a ze względu na fakt, iż w sposób charakterystyczny i nie pozbawiony pikanterii odzwierciedla stosunki panujące w USA na najwyższych szczeblach władzy, wydaje się, że warto poświęcić jej nieco uwagi. Wspomniane wyjaśnienie kulis zagadkowej dymisji człowieka, który po wojnie uchodził niemal za człowieka bohatera narodowego Ameryki, znalazło się mianowicie w wydanej przed dwoma laty książce Merle Miller zatytułowanej: „Mówiąc otwarcie”. Truman opowiada o swoim życiu. Książka ta powstała na podstawie rozmów, tej znanej amerykańskiej dziennikarki z byłym prezydentem Stanów Zjednoczonych i właśnie stamtąd zaczerpnięto fragmenty dotyczące sprawy MacArthura. Oddajmy zatem głos Harry Trumanowi, który tak oto tłumaczy powody dla których zwolnił MacArthura ze stanowiska:

„Zwolniłem go, ponieważ lekceważył autorytet prezydenta. Tak brzmiały moje odpowiedzi. Nie zwolniłem go dlatego, że był głupim kundlem, chociaż był nim. U generałów nie jest to sprzeczne z prawem. W przeciwnym wypadku trzy czwarte z nich musiałoby siedzieć w więzieniu. Dlatego, kiedy wśród nich zdarzy się jakiś dobry, tak jak general Marshall, to trzeba z nim trzymać. I to właśnie zrobiłem.

Jeśli idzie o MacArthura... aby zrozumieć, co się stało i czego większość ludzi moim zdaniem nie rozumie, trzeba wiedzieć, że kiedy byłem w Białym Domu, to istniało u nas w kraju bardzo silne tzw. chińskie lobby. Miało ono na swym pasku wielu kongresmanów i senatorów, którzy robili to, co im powiedziano, dysponowało miliardami dolarów i wydawało te pieniądze. Ludzie ci chcieli staremu Czangowi (Czang Kaj-szekowi) przywrócić władzę.

W końcu sierpnia general MacArthur przesłał na doroczne spotkanie owej dalekowschodniej grupy patriotycznych weteranów wojen zamorskich, orędzie, w którym przedstawił swoją osobistą politykę ograniczenia dla całego obszaru Pacyfiku. MacArthur stwierdził, że jeśli się go posłucha, to ten mały oceanik zmieni się w pokojowy staw. Aby zrobić początek zaproponował on amerykańską linię obrony, rozciągającą się od Władystoku do Singapuru, na całej swej długości zabezpieczoną przez amerykańskie siły powietrzne, morskie i lądowe, przypuszczalnie pod jego naczelnym dowództwem. Następnie przyrzekł on Czangowi wieczną wierność i stwierdził, że trzeba go popierać”.

Na pytanie Merle Miller, jak prezydent tłumaczył sobie postępowanie MacArthura, Truman odpowiedział:

„Wiele się nad tym zastanawiałem i w końcu doszedłem do wniosku, że był to czas, kiedy miał on niezapewnić po kolei w głowie. Ponadto w jego otoczeniu nie było nikogo, kto by go hamował. W jego sztabie byli tylko tacy, co go całowali w dupę lub wchodziłi w nią bez zastanowienia.

Ten wariat nie był od czternastu lat w Stanach Zjednoczonych i zdaje się w ogóle nie rozumiał wiadomości, które mu przekazywałem przez innych ludzi. Przeto zdecydowałem się, że powinien on wrócić do Stanów Zjednoczonych, do Waszyngtonu. Rozmawiałem o tym z generałem Marshalllem. General jednak odrzucił mi sprawozdanie go do Waszyngtonu. Powiedział mi on: „Ten człowiek podburzy całe chińskie lobby i wszystkich tych ludzi”.

Oczywiście, miał rację, przynajmniej w 99 procentach. Postanowiliśmy więc — ja tak postanowiłem — spotkać się z nim gdzieś w połowie drogi i wybraliśmy ją w tym celu wyspę Wake.

MacArthur zawsze miał zacięcie teatralne, ale mu to niebyłoby dobrze wychodziło. Wiedziałem, co ma zamiar zrobić z całym tym kramem, czy samolot ma pierwszy wylądować i nie zamierzam do tego dopuścić. Postawiłem sprawę jasno, że musiał pierwszy wylądować i on to zrobił. Po wylądowaniu, na lotnisku był komitet powitalny, ale przez okno zobaczyłem, że nie ma MacArthura. Również, kiedy zgazono silniki i otworzono drzwi, on się nie pokazał.

W końcu ten gnojek wyszedł z pewnego budynku w pobliżu pasa startowego. Miał na sobie te parszewy okulary przeciwsłoneczne, porozpinana koszulka, a na czapie całą kupę rupieci. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego on, starszy facet i do tego pięciogwiazdkowy general, zachowywał się jak 19-letni porucznik. Postanowiłem nie zauważać tego wybrku, podaliśmy sobie ręce i uzgodniliśmy rozmowę. Ja zjawiliem się punktualnie, ale on spóźnił się 45 minut.

Kiedy wszedł, spojrzaliśmy na niego i powiedziałem: „Niech pan uważa. Przejechałem pół świata, po to, by się z panem spotkać. Ale nie o to chodzi. Powinien pan tylko jedno wiedzieć, że mnie jest wszystko jedno, co pan sobie myśli o Harry Trumanie, lub jak się pan do niego odnosi. Ale niech pan nie próbuj, aby jeszcze raz czekał na pana pański dowódca, Jasne?”

Jego twarz stała się czerwona jak rzodkiewka, i powiedział: „a raczej dał do zrozumienia, że rozumiał o czym myślałem i rozmawialiśmy dalej. Nie potrzebowałem w ogóle mówić o tym, co napisał do stowarzyszenia weteranów, bowiem on sam stwierdził, że nie wie, co mu się stało.

Spytałem go więc, czy możliwe jest, że Cięższy wkrocza do walki, na co on odrzekł, że jest to niemożliwe w żadnym wypadku. Powiedział przy tym: „Panie prezydencie, na Święto Dziękczynienia (czwarty czwartek w listopadzie) wojna się skończy, a na Boże Narodzenie wojska amerykańskie będą z powrotem w Tokio”. W tym sensie mówił cały czas. Rozmawialiśmy mniej więcej godzinę i myślałem, że bardzo wyraźnie dałem mu do zrozumienia, że ja jestem jego naczelnym dowódcą, że ma wykonywać rozkazy i siedzieć cicho”.

Ale MacArthur, mimo zapewnień o swej wiecznej wierności, nie miał bynajmniej zamiaru podporządkować się woli prezydenta, zwłaszcza co do tego, aby akcje bojowe podejmowały na razie tylko wojska południowokoreańskie. Wydał on osobisty rozkaz, aby siły amerykańskie rozpoczęły ofensywę przeciwko Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej. Na rezultaty swej decyzji nie musiał długo czekać. Do 26 listopada 1950 roku ponad 200 tysięcy chińskich ochotników wkroczyło do Korei i amerykański korpus ekspedycyjny, działający pod flagą ONZ, zmuszony był się wycofać i to w całkowitej rozsypanie. Wtedy MacArthur jeszcze raz podjął próbę zmiany niekorzystnej dlań sytuacji i rzucił nowe siły na północ. Gdy w marcu 1951 roku dotarły one do 38 równoleżnika, doszło do ostatecznej i najbardziej zawziętej z wszystkich dotychczasowych, próby sił między niesionym generałem a prezydentem.

Truman od dawna czuł się urażony, w swej ambicji naczelnego dowódcy sił zbrojnych USA, postępowaniem MacArthura. Teraz uznał, że nadszedł właściwy moment do ukroczenia jego kariery. Postanowił wykorzystać niesubordynację namiestnika Japonii, Sedno polegało na tym, iż prezydent i kolegium szefów sztabów nakazało MacArthurowi zatrzymanie się na 38 równoleżniku, przy czym Truman był pewien, że general będzie dał za wszelką cenę do rozszerzenia skali działań wojennych. A oto, co on sam mówi na ten temat:

„Chciałem w miarę możliwości mieć przykład jego niesubordynacji. Wiedziałem, że MacArthur, że nie będe musiał na to długo czekać, i tak się też stało. Napisał on bowiem list do Joe Martina, w którym powiarył, że chce zaangażowania wojsk Czang-Kaj-szeka oraz stwierdził, że nie może być „namiastki zwycięstwa”.

Kiedy następnego ranka (11 kwietnia) o godz. 8.15 przybyłem do mego biura, był tam już general Marshall, który czekał na mnie niezwykle podniecony. „Prawie przez całą noc studiowałem te akta, panie prezydencie. Pan powinien być wyrzucić tego człowieka już przed dwoma laty”.

„Trzeba było załatwić całą masę spraw. Poprosiłem generała Bradleya, aby upewnił się, że mamy pełną zgodę kolegium szefów sztabów. Wszystkie jednoznacznie stwierdziły, że MacArthura trzeba wyrzucić. Musieliśmy wdrożyć przekazanie dowództwa generalowi Ridgwayowi. Wreszcie, musieliśmy być pewni, że MacArthur otrzyma wiadomość oficjalną drogą. Znajdowałem się jeszcze w Białym Domu, kiedy przyszedł Joe Short i powiedział, że „Chicago Tribune” zna całą historię i następnego ranka ją wydrukiuje.

Dlatego, gdy przybył do mnie general Bradley, powiedziałem mu co się święci. Odpowiedział on na to, że jeśli MacArthur usłyszy, że został zwolniony, zanim się go oficjalnie wyrzuci, to zaproponuje mi swoją dymisję. Powiedziałem więc do Bradleya: „Ten gnojek nie proponuje mi swojej dymisji, gdyż musi być wyrzucony”.

Poleciłem Bradleyowi, żeby co godzinę składał mi sprawozdanie o tym, co się dzieje. Udał się on więc do Pentagonu aby przesłać dowództwu wiadomość. Nie mógł jednak się z nim skomunikować. Dlatego zatelefonował do mnie prosząc o zezwolenie przekazania wiadomości o zwolnieniu, bezpośrednio MacArthurowi i powiadomienie go, że ma przekazać dowództwo Ridgwayowi. Powiedziałem, żeby załatwił wszystko jak najszybciej. Im prędzej, tym lepiej. I tak się stało. To wszystko, Joe Short zwołał konferencję prasową, przeczytał swoje oświadczenie i na tym był koniec, nie mówiąc oczywiście o wrzasku, jaki powstał”.

Opracował:
ADAM CZERSKI

FILM

RODZAJ PRESJA TEMATÓW

Tegoroczny XIV Międzynarodowy Festiwal Filmów Krótkometrażowych zebrał na 13 pokazach konkursowych 98 filmów z 36 krajów...

Festiwal tegoroczny przebiegał jakby pod dyktando kilku tematów, podejmowanych tak często i w taki sposób, że aż mogło to wzbudzić pytanie o dojrzałość intencji twórców...

Do tematów wiodących zaliczyłbym przede wszystkim ochronę naturalnego środowiska ludzkiego, filmy podejmujące ten temat, od beznadziejnie naiwnej myślowo i konwencjonalnej plastycznie animacji belgijskiej „Pietje Rood”...

Na takim też, wszystko co trochę chociaż odbiega od przeciętności staje się mile widziane, a wyraźnie widoczne uzyskuje szansę na nagrodę... „Szeptali” Krzysztofa Kiesiowskiego...

Nagrody specjalne — Złote Smoki — zdobyły ex aequo „Illa Erenburg” Ludmily Stanukinas oraz jugosłowiański „Miot” reżyserki Aca Hica...

W „Gazecie Festiwalowej” napisano o nim: „Wspaniały film. Warzający, subtelny, mądry”... Nagrody Główne w postaci Srebrnych Smoków otrzymały cztery filmy...

W tym towarzystwie film animowany — „Ulica” Karoliny Leaf (Kanada), nagrodzony już wcześniej Grand Prix w Londynie...

Czwartego Srebrnego Smoka otrzymał wspomniany już „Ślady na piasku”...

Na festiwalu krakowskim zaprezentowano kilka filmów nagrodzonych wcześniej w Oberhausen... „A placiere” Zoltana Huszarika...

Do ciekawszych filmów festiwalu należały też dwa filmy animowane, rumuński „Długa droga” Adriana Petringeanu oraz bułgarski „Hipoteza” Anri Kulliewa...

Drugim laureatem z Oberhausen jest, także węgierski, dokumentalny film „Mecenas” reżyserki Laszlo Vitezy...

Do ciekawszych filmów festiwalu należały też dwa filmy animowane, rumuński „Długa droga” Adriana Petringeanu oraz bułgarski „Hipoteza” Anri Kulliewa...

RYSZARD W. KLUSZYŃSKI

KSIĄŻKA

perypetii ciąg dalszy

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

Witold Zechenter przed niejakim czasem napisał w „Szpilkach”:

Czytam i czytam — nie nie rozumiem, gubię się w dźwięcznych postaciach tłumie, żal mnie ogarnia, nuda bezkresna... A to jest polska powieść współczesna!

Wierszyk ów potraktujmy jako przewrotnie nieco i zartobliwie wprowadzenie do refleksji, wynikłych z lektury niektórych utworów opublikowanych w dwu elitarnych seriach polskiej prozy współczesnej...

Nim jednak rzecz będzie o powieściach i opowiadaniach — odwołać się chcę na chwile do opinii krytyki literackiej, a konkretnie do głosnej w ubiegłym roku książki Witolda Nawrockiego „Klasa, ideologia, literatura”...

Diagnoza ta zachowuje ważność anno 1977. Przegląd twórczości prozatorskiej ostatnich kilkunastu miesięcy...

— „Nie ma życia bez polityki!” — oświadczył w wywiadzie Andrzej Kuśniewicz. I dodajmy: bez seksu, podobnie jak bez jednego i drugiego nie byłoby wspomnianych powieści...

Motywow przewodnim drugiej grupy powieści jest — najogólniej mówiąc — refleksja nad literaturą. Wyodrębniają się w niej trzy książki: „Kalendarz i klepsydra” Tadeusza Konwickiego...

„Patrycja czyli o miłości i sztuce w środku nocy” — to powieść polityczna w sensie odsłaniania mechanizmów różnych działań, spośród których najważniejszy charakter posiadają wysiłki ideologa anarchizmu...

Z powieści sensu stricte politycznych dwie zdobyły rozgłos szczególny: „Akropoli” Jerzego Putramenta i „Pole niczyje” Zbigniewa Sajfana...

„Pole niczyje” Zbigniewa Sajfana. W jakimś stopniu można dołączyć do nich „Bunt” Andrzeja Brauna.

W uprawianej przez Putramenta prozie polityka stanowiła zawsze w prostej linii funkcję historii, a przejawiała się w sposób niezwykle konkretny i niemal codzienny...

„Pole niczyje” było jednym z bestsellerów minionego roku. Jak każda powieść polityczna spełnia funkcję komentującą wobec konkretnych faktów historycznych...

— „Nie ma życia bez polityki!” — oświadczył w wywiadzie Andrzej Kuśniewicz...

Motywow przewodnim drugiej grupy powieści jest — najogólniej mówiąc — refleksja nad literaturą. Wyodrębniają się w niej trzy książki: „Kalendarz i klepsydra” Tadeusza Konwickiego...

Tadeusz Konwicki porzucił fabułę w momencie, gdy poczuł się nią znudzony jak „niepotrzebnym już nikomu balastem, wieszonym na wszelki wypadek, nie wiadomo dokąd”...

Poprzez warstwę anegdotyczną książka ta jest niezłożonym raczej dokumentem literackim naszych czasów. Ale tej warstwy sam autor nie potraktował zbyt poważnie...

W „Pły nad Styksem” Zukrowski przeprowadza, ale i poddaje krytyce, tezę, w myśl której pisarz powinien być sumieniem świata. Powiadam pisarz, a nie literatura...

„Doktor Twardowski” stanowi polską odmianę starego austriackiego motywu: dążenia za wszelką cenę do zdobycia całej wiedzy o świecie...

Trzecią wreszcie grupę utworów określić można w sposób następujący: „blizny naszej rzeczywistości”...

„Pościg” otwiera rozmowa telewizyjna, podczas której ktoś znaczny wypowiada się z uznaniem o młodym, wyjątkowym, wyjątkowo aplanowanym swego miłośnika literackiego...

W tonie Gieraltowskiego niektóre tylko opowiadania dotykają współczesności. Najbardziej — choć może nieco schematycznie — ukazuje socjologiczne przemiany społeczeństwa polskiego...

Stosunkowo wysokie nakłady, szybko następujące wznowienia, wychodzące naprzeciw wzrastającym potrzebom rynku czytelnictwa...

SWOI W CHICAGO

Filmu „Sami swoi” nie trzeba chyba przypominać nikomu, gdyż należy do tej niezwykłej małej grupy utworów ekranowych, które reprezentują udaną polską komedię...

Tym razem w poszukiwaniu atrakcyjności ruszono za Ocean. Myślę — powiada reżyser Sylwester Chęciński — że z naszym ostatnim filmem powinno być podobnie jak z pierwszym...

stwą obyczajową i kulturową; jak dalece wpływ miejsca, ludzi i czasu zmieniał tamtejszych Polaków...

Tyle że zwierzchni reżyser. Nie pierwszy raz zamierzenia w intencje nie znajdują potwierdzenia w efekcie podjętej pracy. W „Kochaj albo rzuć” stało się tak chyba dlatego, że nie nowego o amerykańskich Polakach film ten nam nie powtórzył...

Okazało się, że egzotyczność o której mówił reżyser „Samiych swoich” i „Kochaj albo rzuć” była pełniejsza w pierwszym z tych filmów...

Z powieści sensu stricte politycznych dwie zdobyły rozgłos szczególny: „Akropoli” Jerzego Putramenta i „Pole niczyje” Zbigniewa Sajfana...

EWA NURCZYŃSKA

POD MOSTAMI PARYŻA

Muzealny strażnik zdebił. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Ależ tak. To nie złudzenie. W samym końcu monumentalnego „Centre Beaubourg” w Paryżu rozciągnęło się w niedbałych pozach trzech ponurych „kloszardów”. Leżeli brudni, nie ogoleni, w iachmanach, z papierosami w ustach. Muzealny strażnik puścił się ewalem do telefonu. Zalarmował policję. Przybyli na miejsce komisarz popatrzył na bezdomnych włóczęgów i wybuchnął śmiechem.

— Czyś pan zwirował — zwrócił się komisarz do muzealnego strażnika. — Przeleż tu dzieńka.

Grupa „kloszardów” naturalnej wielkości, o zapadniętych twarzach i bladym spojrzeniu wyszła spod dłuta amerykańskiego rzeźbiarza. Stworzył ją Duan Hanson. Jest zakatalogowana w „Centre Beaubourg” jako „Les clochards de Bowery”. Hanson wziął to z życia. Skopiował włóczęgów z Bowery w Nowym Jorku. To ulica, na której leżą setki życiowych rozbitków. Są już wykończeni. Robią głupie miny i pokazują język przechodniom. To ludzie, na których położono krzyżyk. Pijacy i narkomani. Po coż sobie tym zaprzętać głowę? Jak się nawet pozbędą jednego nalogu, to wpadną w drugi. Może jeszcze gorszy. Już lepiej zostawmy ich w spokoju. Niech w brudzie i odorze swych ciał dożywają swych dni.

To, co w Nowym Jorku spotyka się na Bowery, jest czymś zwykłym i codziennym w całym świecie Paryżu. Dlatego muzealny strażnik mógł się pomylić. Miał do tego prawo. Paryscy „kloszardzi”, opiewani byli ongiś przez Victora Hugo i wielu innych poetów. Pod mostami Paryża. No właśnie. Tu pod „Pont Royal” nad Sekwaną żyje w budzie z dykty król paryskich „kloszardów”, 74-letni Jules. Ma białą brodę patriarchy, gołą czaszkę buddyjskiego mnicha, palające oczy Rasputina i niklowe okulary oksfordzkiego profesora. Jules siedzi w budzie z dykty jak Diogenes w beczce i twierdzi, że jest pozytywnym anarchista. Co to oznacza nie „rozberiesz” nawet przy butelce „Vin de Pays” za jedyne 3 francuskie franki.

„Kloszard” nawet gdyby chciał, to nie bardzo ma czas na filozofowanie. „Kloszardzi” są zajęci. Są cały dzień na nosach. Szperają za jalmuzną. Wyszła za resztkami po konserwach. Przechodzą pojemniki na śmieci. Grzebią w halach targowych za zgnitym pomidorem. Najgorzej jest zimą. Wtedy to już trzeba się ulozyc w ulicznych kratkach, które są płucami metra, albo co zwiędzić, żeby pojąć na parę miesięcy do ciupy. Tam przynajmniej jest ciepło. A wiosną zaczyna się wszystko od początku.

Jules bardzo sobie ten żywot chwali. Dowodzi, że jest duża indywidualność. Twierdzi, że proponowano mu rolę w Hollywood. Ale on odmówił. To by było wbrew zasadom. Gdyby film krecono w Tybecie to co innego. Tybet go interesuje. Bardzo by chciał otrześć się o Tybet i tybetańskich mnichów. Jules to król paryskich „kloszardów”. Z tego więc tytułu zbyt typowy nie jest.

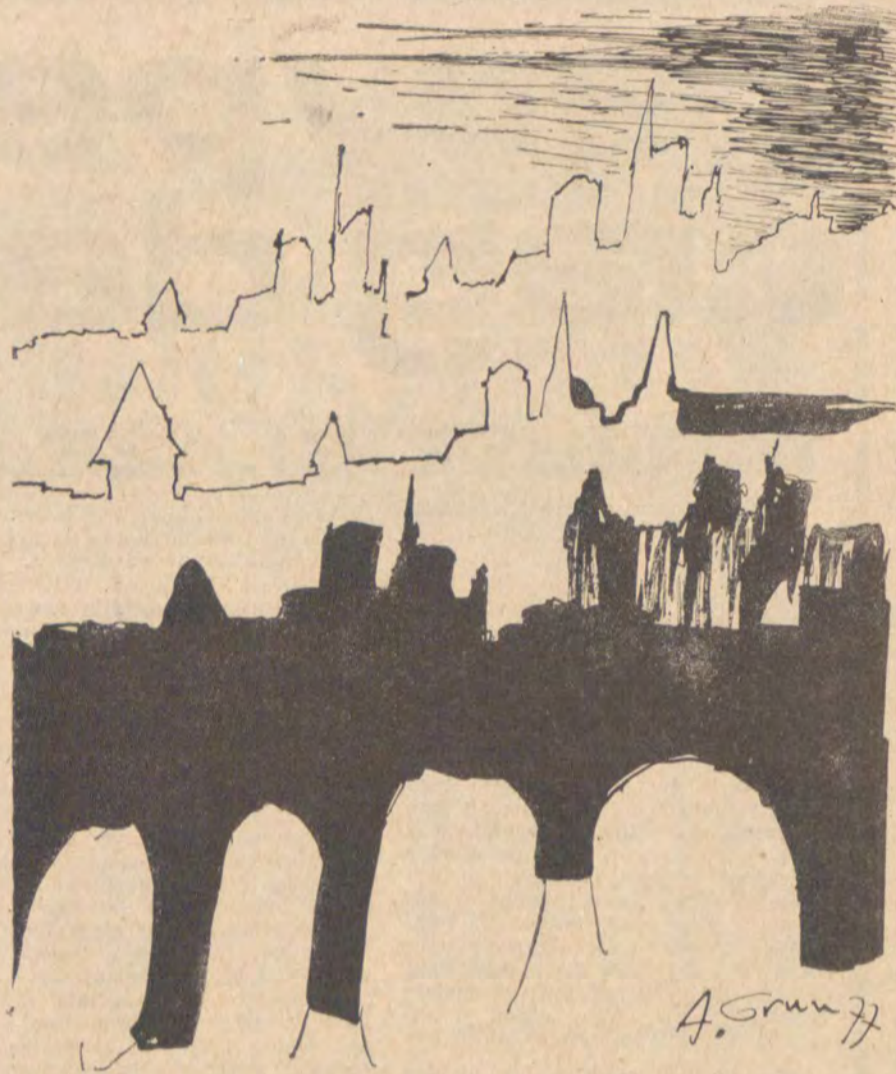
To jakby „kloszardowy” gwiazdor, którego się fotografuje, z którym się rozmawia, którego się fetuje.

Co z reszłą „kloszardów”? Już gorzej, dużo nawet gorzej. To niedzarda. Żyją z dnia na dzień. Aby do jutra. Świat, który ich otacza jest dla nich groźny, obcy i brutalny. Czują się odepchnięci. Nie mogą znaleźć sobie miejsca. W życiu im się nie powiodło. Nieudacznicy. Nie wytrzymali ostrej bezpardonowej walki o byt. Stoczyli się na dno. Wielu wśród nich bankrutów. Są bez zajęcia. Także bez dochodów. Złamali się. Zjadła ich konkurencja. A z czegoż żyć trzeba więc żebrzą. Podkradają. Głodują. Władze są zaniepokojone. Zauważono, że pojawia się nowa generacja „kloszardów”. A jest ich dziś w Paryżu ponad 6.000.

Kiedyś typowym paryskim „kloszardem” był inwalida o kulach. Dziś to przeważnie ludzie 30-40-letni, w kwiecie niejakiego wieku. Legion „kloszardów” wzrasta. Zasilany jest coraz szerszymi strumyczkami, które sączą się pod mosty Paryża z ponad milionowej już we Francji armii bezrobotnych.

Sezon turystyczny w Paryżu jest w pełni. „Kloszardzi” nieco odepchnięci. Jest słońce i są turyści. Można żyć. Aby do jutra. Im mniej potrzeb, tym więcej przecież szczęścia. Tego „kloszardowego”. Pod kamiennym łukiem mostu nad Sekwaną.

HARHARA



BUDAPESZT — CENTRUM EUROPY

Wśród turystów są dwie szkoły. Jedni twierdzą, że najpiękniejszym miastem Europy jest Praga — drudzy twierdzą, że parę innych miast. Wśród tych innych czołową lokatę zajmuje właśnie Budapeszt. Nie podejmuje się rozstrzygnąć, która ze szkół ma rację — nie widziałem Neapolu, po zobaczeniu którego można natychmiast umrzeć.

Jedno jest pewne. Budapeszt leży w centrum Europy, w jednakowej odległości od Moskwy, Londynu, Paryża, Sztokholmu i Stambułu. W Budapeszcie mieszka 2 miliony ludzi, co stawia go na równi z takimi stolicami jak Wiedeń, Rzym czy Madryt.

O Budapeszcie najlepszą chyba i z całą pewnością najciekawszą książkę napisał Tadeusz Olszański. Myślę o „Budapeszteńskim ABC”, która miała parę wydań i wciąż jest trudno osiągalna, bo ciągle bezkonkurencyjna wobec innych bedekerów.

Pisząc o Budapeszcie nie można więc pominąć tej książki. Zaczniemy jednak od języka. Jest on zupełnie hermetyczny, bo wszystkie międzynarodowe zwroty i ogólnie znane słowa w Budapeszcie tracą sens. Weźmy taką gazetę. Jeśli chcemy ją kupić w Paryżu, Londynie, Berlinie — wystarczy słowo „press” czy „journal”. W Budapeszcie darmo szukać kiosku z takim napisem, bo tam gazeta nazywa się „ujasz”. Słowo „hotel” w całej Europie znaczy „hotel”, słowo „restaurant” znaczy „restauracja”.

W Budapeszcie — nie. Hotel nazywa się „szalloda” a restauracja „eterem”. Jeśli ktoś rano szuka jakiegoś baru, aby tanio zjeść śniadanie, niech nie pyta Węgrów o bar. Słowo to na Węgrzech oznacza tylko i wyłącznie dancinę i nocny lokal. A kto idzie na dancinę o ósmej rano? Pytając rano o bar, można zamiast informacji zobaczyć znaczące puknięcie w czoło.

Jeśli się ktoś jednak uprze przy nocnym lokalu, polecam „Maxim variete”, gdzie zobaczyć można i usłyszeć Gipsy Show i Kalinka Show, orkiestrę Maxim Quintet, piosenkarkę Tony Paitona, piosenkarki: Kosa Zsuzsa, Evé Bordas, Judit Juszt... Adres: Akafia Utcá 3.

Przyjemniejsze są jednak typowo węgierskie lokale i lokaliki. Węgierska gastronomia ma stare, dobre tradycje, które przede wszystkim każą dbać o klienta. Nie bez wpływu pozostaje tu jednak duża ilość różnego rodzaju lokali, począwszy od małych wyszynków, w których można napić się wina i zjeść szybko coś dobrego, aż do wytwornych restauracji hotelowych kategorii „S”.

W Budapeszcie jest blisko trzy tysiące różnego rodzaju lokali gastronomicznych. Z rywalizacji o klienta zwycięsko wychodzą małe lokaliki — vendeglo czyli gospody, csardy — czyli karczmy i kerty —

czyli ogródki. Najczęściej są to lokale niskich kategorii, ale o wysokich walorach.

Jak informuje Tadeusz Olszański, prawdziwym zagłębiem cudownych restauracyjek o niepowtarzalnym uroku jest Obuda. Dzielnica ta leży wprawdzie nieco z dala od przetartych turystycznych dróg, ale poniesione trudny zostaną szybko nagrodzone. Wśród starych, krytych uliczek warto poszukać przede wszystkim karczmy „Hid” (Mokusa Utcá 22) lub „Vasmacska” (Laktanya Utcá 3-5).

W „Hid” wszystkie potrawy są znakomite i prawdziwie po węgiersku ogniste. Ryby wprost z ogromnego akwarium wyjmują się na życzenie gościa i za kilkanaście minut mamy je już na stole w postaci balaszle (zupa rybna) lub innego dania.

Pod Górą Zamkową przy Szarvasster znajduje się gospoda „Arany-szarvas” („Złoty Jeleń”) specjalizująca się w potrawach z dziczyzny. Pod cytadelą — gospoda „Busulo juhász” („Smutny Juhász”) słynne z galuszków i paprykarzy. Znajdująca się naprzeciw hotelu Gellerta restauracja „Szeged” przyciąga gości nie tylko świetną kuchnią, ale również obsługą w oryginalnych węgierskich strojach ludowych.

Jeśli ktoś rozsmakuje się w ostrych potrawach i chciałby po powrocie do domu również zrobić sobie obiad w stylu węgierskim, musi koniecznie kupić parę wianuszków suszonej czereśniowej papryki, zwanej „csere-sznye paprika”. Można ją kupić za kilkanaście forintów w halach targowych przy moście Elzbiety. Zadną ilość sproszkowanej czereśniowej papryki nie da potrawie tego smaku co dwie suszone papryczki czereśniowe wrzucone do garnka.

Jeśli natomiast ktoś wybierze się na dalekie przedmieście — metrem do stacji Nagyvárud ter — a dalej parę przystanków tramwajem na kraniec dzielnicy Kispert — może na zieloniaku kupić... kiszona zieloną paprykę. I to jest dopiero ogień w gębę.

Ponieważ wspominałem o metrze, dodam jeszcze, że budapeszteńska kolej podziemna jest najstarsza w Europie: starsza od paryskiej i moskiewskiej. Wejście do metra kosztuje 1 forint, bilet tramwajowy — także 1 forint, autobusowy 1,50 forinta. Komunikacja, mimo wykopków (buduje się sporo, także nowe odcińki metra) jest sprawna i nawet późnym wieczorem można szybko przejechać z jednego krańca miasta na drugi.

A pojeździć po Budapeszcie warto, bo jest to miasto godne dokładnego zwiedzenia. Poza tym jest olbrzymie — zajmuje ponad 500 km kw. O Budapeszcie tak pisze Krystyna Boglar w informatorze turystycznym „Węgry”, wydanym przez KAW:

Miasto rozciąga się na dwóch brzegach Dunaju ujętego w kamienne

koryto. Z 22 dzielnic, 15 leży na lewym brzegu (Peszt), 6 na prawym brzegu (Buda) i 1 okręg na wyspie Csepel. Prawy brzeg Dunaju jest otoczony półkolem zielonych wzgórz, z których najwyższe to szczyt Janoshegy (529 m). Tam rozsiadła się dzielnica mieszkaniowa, Buda. Jej część willowa, pełna kwitnących ogrodów, podchodzi aż pod gęsto zalesione pagóry. Daje to wielu dziesiątkom tysięcy mieszkańców złudzenie stałego przebywania w dobrze zorganizowanej miejscowości letniskowej. Jeśli dodamy jeszcze do tego znakomitą komunikację autobusową, która w parę minut przeniesie nas przez nowy most Elzbiety, przedłużony ulicami Kossuth Lajos i Rakoczi, do dworca wschodniego i dalej, w kierunku stadionu sportowego — śmiało można powiedzieć, że mieszkańcy Budy zaliczają się do wybrańców losu. W niedalekiej przyszłości, pod tą właśnie arterią, powstanie nowa odnoga stołecznego metra. Buda ma korzystne połączenia tramwajowe i autobusowe z sąsiednimi wzgórzami, celem niedzielnym wycieczek mieszkańców. Wybudowana w latach 1948-1950 kolejka łączy ze sobą najpiękniejsze wzgórza Budy.

Peszteńska strona miasta jest najmłodszą metropolią Europy, która w ostatnim stuleciu w szybkim tempie rozwinięła się i obecnie to olbrzymie miasto zupełnie indywidualnie koordynuje przeszłość z teraźniejszością i romantyczne pamiątki z pulsującym rytmem współczesnego życia. Obok dawnych budynków fabrycznych wznoszą się nowoczesne zakłady przemysłowe, a na miejscu dawnych ubogich domów robotniczych powstają nowe osiedla mieszkaniowe i ośrodki miejskie.

Sześć mostów otwartych dla ruchu kołowego, w tym piękny, nowoczesny most Elzbiety (1964 r.) oraz dwa mosty kolejowe, łączą Budę z lewo-brzeżnym Pesztem. Wszystkie mosty wysadzone w powietrze w czasie działań wojennych, zostały odbudowane dzięki staraniom władz. Usytuowany poza śródmieściem nowy most Arpada spina metalową klamrą Budę z zespołem nowoczesnych dzielnic mieszkaniowych.

Jednym z najpiękniejszych miejsc Budapesztu jest Wyspa Małgorzaty, długa na 2,5 km. Wzdłuż wałów ochronnych mieszczą się przystanie wioślarskie. Na samej wyspie — poza parkiem, ogrodem różanym i zabawnym ogródkiem japońskim — znajduje się olbrzymie kąpielisko „Palatinus”, miejsce letnich wypraw mieszkańców miasta i rzeszy turystów. Na wyspie znajduje się ponadto hotel „Nagyszálló”, letni amfiteatr oraz ruiny kościoła i średnio-wiecznego klasztoru z końca XII w.

Peszt, leżący na lewym brzegu Dunaju, ma bardzo oryginalny, okrzęny układ ulic. Pochodzi to z okresu, gdy starożytne wały, otaczające półkolem śródmieście stykały się obydwooma końcami z Dunajem. Po-

zostałe ulice rozchodzą się promieniście od centralnego punktu, którym jest Parlament, przecinając półkoliste bulwary i dążą w kierunku nowych dzielnic miasta.

Budapeszt, o czym nie wszyscy wiedzą, jest miastem — kurortem, jednym z największych na Węgrzech terenów występowania wód mineralnych, przeważnie ciepłych i gorących, o silnych właściwościach leczniczych. Biją tu 123 gorące źródła o temperaturze od 22 stopni do 76 stopni C., dostarczając łącznie 70 mln litrów wody dziennie. Lecznicze właściwości tych źródeł były znane już w zaraniu dziejów, jednak dopiero w epoce podboju tureckiego zaczął się prawdziwy „złoty wiek” kąpielisk. Turcy władcy żyjący w Budzie wnosili liczne łaźnie (zgodnie z rytuałami swej religii), które rywalizowały ze sobą pod względem barwności i przepychu wnętrza. Z tych czasów pochodzą istniejące do dziś zakłady balneologiczne „Csaszár”, „Kiraly” i „Rudas”.

Wokół miasta rozrzucone są liczne campingi dla zmotoryzowanych turystów. Najnowocześniejszy z nich znajduje się w Romai fűrdő, niedaleko Aquincum, miejsca wspaniałych wykopalisk archeologicznych z czasów rzymskich, drugi w Horshagen.

WARTO WIEDZIEĆ.

Jak informuje IMT „Światowid”, komunikacja z Węgrami jest następująca: między Warszawą a Budapesztem kursują dwa pociągi — „Polonia” oraz „Batory”. Podróż trwa 14 godzin. Bilet kolejowy II klasy poc. pospiesznego — 240 zł, dopłata za miejsce sypialne — 135 zł.

W soboty i niedziele kursują autobusy „Volan” między Zakopanem a Budapesztem. Podróż trwa około 8 godzin. Bilet kosztuje 250 zł.

NOCLEGI: Hotele dzielą się na kategorie Lux, A i B. Orientacyjne ceny zlotowe w hotelach kat. A (przed i po sezonie): pokój z łazienką — 250-300 zł, dwuosobowy z łazienką — 180-250 (od osoby), bez łazienki — 150-200 zł. W sezonie ceny wyższe o około 100 proc. Przy zakwaterowaniu obowiązuje korzystanie ze śniadania obiadu lub kolacji, a w sezonie ze wszystkich trzech posiłków. Opłaty w zależności od kategorii hotelu za śniadanie 35-90 zł, obiad 120-175 zł, kolacja 120-195 zł. Zakwaterowanie najlepiej zabezpieczyć przed wyjazdem z Polski w jakimkolwiek biurze turystycznym.

Na miejscu natomiast płacimy za pokój hotelowy (od osoby) od 200 do 300 forintów, łącznie z wyżywieniem. Przy obojętnej normie wymianów jest to oczywiście niemożliwe, należy więc korzystać z rezerwach polskich biur turystycznych i wszelkie tego typu świadczenia opłacać w kraju złotówkami.

POSIŁKI: Codzienne wyżywienie w barach samoobsługowych (ryzyne od 7 do 20) kosztuje około 80 forintów. W taniej restauracji za właśnie tyle restauracje są w Budapeszcie znakomitej — śniadanie: 25 forintów, obiad lub kolacja: 30 forintów, wino (0,7 litra): 40-70 forintów, kawa — 7, coca-cola — 6, ciastko: 2-10 forintów.

Większość sklepów spożywczych otwarta jest od godz. 7 do 20.

Opracował:
JERZY WILMANSKI

Rys. Andrzej Grün



U PRZYJACIOŁ

Przez szesnaście miesięcy, a więc przez półtora roku, odbywać się będą imprezy należące do programu kulturalnego „Olimpiady-80”.

Rozpoczyna się one rok wcześniej niż olimpiada, 1 lipca 1979 roku, w czasie Spartakiady Narodów ZSRR, a zakończy się pierwszego października 1980 roku.

Oczywiście szczególne miejsce w programie kulturalnym zajmie 16 dni lipca i sierpnia 1980 r., kiedy to w stolicy Kraju Rad odbywać się będą XXII Igrzyska Olimpijskie.

Do Moskwy przybędzie wtedy przeszło 600 tys. osób: ok. 12 tys. sportowców, 3 tys. gości oficjalnych, 6 tys. dziennikarzy i wielu, wielu turystów.

Kulturalny program „Olimpiady-80” będzie wielką panoramą osiągnięć sztuki narodów ZSRR. Swoją sztuką reprezentują artyści moskiewskiego Teatru Wielkiego, teatrów opery i baletu z Leningradu i Kijowa. W salach koncertowych występują banda zespoły Państwowej Akademickiej Symfonicznej Orkiestry ZSRR, moskiewskiej i leningradzkiej filharmonii, kapeli chóralnej z Armenii.

Z nowymi programami wystąpią: zespół Igora Moisiejewa, chór im. Piłnickiego, moldawski „Zok”, Krasnojarski Zespół Tańca Syberii, litewska „Letuwa”, kaukaskie zespoły „Lezginka”, „Kabardynka”, „Alan”, uzbecki „Bachor”.

Miłośnicy sztuki estradowej będą mogli słuchać zespołów „Pieśniary”, „Druźba”, „Czerwona Ruta” i innych.

Koncerty i spektakle odbywać się będą w Teatrze Wielkim, kremleńskim Pałacu Zjazdów, sali koncertowej im. Czajkowskiego, Wielkiej Sali Konserwatorium i innych.

Do olimpijskiego programu kulturalnego włączone zostały również miasta, w których rozgrywana będzie część zawodów sportowych — Tallin, Mińsk, Leningrad, a także miejscowości leżące na tradycyjnych szlakach turystycznych — Wolgograd, Psków, Nowogród, Erewań, Tbilisi, Taszkient, Buchara i Samarkanda.

Koncerty i spotkania z twórcami i artystami organizowane będą także na terenie wioski olimpijskiej.

Po raz pierwszy w historii olimpiady opracowany jest specjalny program kulturalny umożliwiający sportowcom wypoczynek i odprężenie psychiczne.

Najwybitniejsi reżyserzy, choreografowie, muzycy i literaci będą autorami scenariuszy otwarcia i zamknięcia igrzysk oraz innych uroczystości jakie odbywać się będą na olimpiadzie.

Znany reżyser radziecki Andriej Tarkowski sygnał znowu do tematyki science fiction. Autor ekranizacji powieści „Solaris” Stanistawa Lema rozpoczyna zdjęcia do filmu oparte go na scenariuszu popularnych autorów radzieckich literatury fantastyczno-naukowej braci Arkadiusza i Borysa Strugackich.

Akcja toczy się w jakimś fikcyjnym zakątku Ziemi, zniszczonym na skutek katastrofy kosmicznej czy też przybywszy z innej planety. Bohaterowie filmu ryzykując życiem, starają się wyjaśnić te zagadki. Przechodzą wiele niebezpiecznych chwil, są świadkami zadziwiających zjawisk i wydarzeń.

Jak stwierdza A. Tarkowski, scenariusz Strugackich zainteresował go oryginalnością, ideą poznania, zrozumienia i wyjaśnienia prawdy.

W rozmowie z dziennikarzem TASS reżyser podkreślił, że tematyka, która podejmowała w swych utworach utalentowani autorzy science fiction, wśród nich bracia Strugacy, zawiera myśli frapujące współczesnego człowieka. Realizm bowiem nie polega na wiernym kopiowaniu autentycznych wydarzeń, ale na ukazywaniu problemów moralnych, psychologicznych i filozoficznych interesujących dzisiejsze społeczeństwo.

W Weimarze odbyło się 65 walne zgromadzenie założonego w 1885 roku Międzynarodowego Towarzystwa im. Goethego.

Wzięło w nim udział 1.200 członków i gości z 17 krajów.

Dziela poetyckie i prace teoretyczne Goethego, powstałe z lat 1780—1810, stworzyły ramy tematyczne dyskusji prowadzonej przez naukowców obradujących w 8 grupach roboczych.

Przewodniczący towarzystwa prof. Karl-Heinz Hahn uzasadnił wybór tematu życzeniem zarządu, aby kontynuować debatę poprzedniego zgromadzenia sprzed dwóch lat, które dotyczyło pierwszego dziesięciolecia działalności twórczej Goethego w Weimarze.

W ramach imprez towarzyszących na scenie weimarskiego teatru zaprezentowano spektakle „Fausta” i odbył się wieczór pieśni Goethego. Uczestnicy zebrania zwiedzili także weimarskie muzea i miejsca poświęcone pamięci poety.

W ponad rok po odparciu imperialistycznej agresji rząd Ludowej Republiki Angoli, korzystając z poparcia mas pracujących, urzeczywistnia szeroki program rekonstrukcji gospodarczej kraju i stworzenia podstaw dla jego rozwoju na drodze socjalistycznej. Istotnej pomocy w tym dziele udzielają Angoli kraje naszego obozu.

Na południowych rubieżach Angoli, w piaskach Namibii, przyczaiła się armia Republiki Południowej Afryki, gotowa do ataku. Na północy kraju i w prowincjach centralnych uzbrojone bandy próbują pociągnąć i przekształcić te rejon w pustynną krainę. Mimo to angolińska rewolucja przyspiesza kroki. Młode państwo, które stało się 146 członkiem ONZ, umacnia swoje struktury. Angola, której terytorium wynosi 1.250.000 km kw., a zamieszkuje ją zaledwie 7 milionów mieszkańców, przy pomocy krajów socjalistycznych, głównie Kubę i Związek Radziecki, robi ogromne wysiłki w dziedzinie odbudowy narodowej. „Stworzyć warunki dla przejęcia od kolonializmu do socjalizmu, unikając ciężkich doświadczeń neokolonializ-

wodowała masowa migracja ludności. Produkcja rolna gwałtownie zmalała, a system sprzedaży produktów został rozstrójony. Żeby zaspościć powrót na najbardziej potrzebne towary, rząd musi je importować. Ponadto zapotrzebowanie niektórych rejonów kraju w żywność jest bardzo trudnione z powodu zniszczenia dróg kolejowych i szos. Przy naprawianiu ich pracuje obecnie 100 tysięcy angolijskich robotników i ponad tysiąc kubańskich specjalistów.

W tych niezwykle trudnych warunkach rząd Ludowej Republiki Angoli koncentruje uwagę przede wszystkim na produkcji wyrobów spożywczych, a także na rozwianiu nowoczesnych gałęzi przemysłu. Im głębiej portugalski reżim faszystowski grzał w wojnie kolonialnej, tym bardziej stymulował kapitalistyczny rozwój Angoli, stwarzając korzystny klimat dla lokowania się tutaj wielonarodowych kompanii. W ten sposób w reżimie rządu ludowego znalazł się teraz nowoczesny i rozległy aparat produkcyjny: portowe i kolejowe urządzenia o wielkiej mocy, plantacje kawy, bawełny, tytoniu, przemysł przetwórczy, szybki naftowy, przedsiębiorstwa górnicze — ważne atuty w walce o przyszłość kraju.

Jednakże obietnice tego wszystkiego w posiadaniu w warunkach przechodzenia od kolonializmu do socjalizmu rodzi mnóstwo problemów, które wymagają natychmiastowego rozwiązania. Sektor przemysłowy obejmuje

przejąć w swoje ręce, jak zresztą wszystkie inne bogactwa narodowe kraju. Ale i tutaj konieczne jest podniesienie produkcji. Angola nie ma na razie ani specjalistów w dziedzinie wydobycia ropy i diamentów ani kapitalistów, ani rynków zbytu. Dlatego teraz nie wysuwa się jeszcze kwestii przerwania działalności takich kompanii, jak Gulf-Oil czy de Beers. Zawarto z nimi nowe porozumienia, ale oczywiście bardziej wygodne dla Angoli i pozwalające jej na kontrolowanie warunków eksploatacji złóż. Jednocześnie rozpoczęto wdrażanie do tej pracy własnych kadr specjalistów.

Współpraca z krajami socjalistycznymi jest niewspoloplanowym elementem w odbudowie gospodarki Angoli. Kraje naszego obozu kierują do niej znaczną liczbę specjalistów z dziedziny służby zdrowia, nauczania, rybołówstwa, rolnictwa, przemysłu. Z kolei młodzi Angolijczycy otrzymują w krajach socjalistycznych wykształcenie techniczne.

Odbudowa gospodarcza obejmuje również proces kształtowania jednego narodu, który jest procesem złożonym związanym z aktywizacją życia społecznego i odnową ekonomiczną, rozwianiem i utrwalaniem programu MPLA i władzy narodowej. Oczywiście przesłanką powodzenia tego procesu są: zaufanie, pokój i bezpieczeństwo.

W centrum kraju, wbrew oświadczeniom przywódców UNITA, ugrupowanie to, jako zorganizowana siła, zostało zlikwidowane. Jak informuje korespondent „France Nouvelle” pozostały tylko uzbrojone bandy, które dokonywały napaadów na wsie, niszczyły drogi kolejowe i szosy, podtrzymując tu i ówdzie atmosferę napaści, hamując odnowę ekonomiczną i szkodzić procesowi narodowej integracji. Nie stanowią one jednak poważnego zagrożenia militarnego. Istnieją jeszcze uzbrojone grupy najemników uderzających z terytorium Zafru. Jedne realnie niebezpieczeństwo zagraża z RPA, która koordynuje swoje działania z NATO. Jednak niepowodzenia rasistowskiej armii w czasie agresji na Ludową Republikę Angoli powstrzymują przywódców RPA od nowych awantur.

Linie polityczną swojej działalności MPLA obracała na plenum Komitetu Centralnego w październiku 1976 roku które potwierdziło, iż celem działalności MPLA jest stworzenie socjalizmu. Konieczność stworzenia partii opierałać swoją działalność na naukowym socjalizmie i na kierowniczej roli klasy robotniczej zyskała ośmielona aprobata. Ale w związku z tym należy przewartościować odpowiednie warunki, biorąc pod uwagę społeczne specyfiki Angoli: 80 procent jej ludności żyje we wsiach, 90 procent nie umie ani czytać aniisać.

Klasa robotnicza, która w początkach lat 60 była jeszcze bardzo nieliczna i słaba, nie odwrwała większej roli w walce przeciwko portugalskiemu kolonializmowi. Ale już w latach 1975—76 była na pierwszej linii druziej wojny wyzwolenczej. Zdaniem przywódców MPLA należy unikać pustostawia i uproszczeń, uwzględniając złożoność i wymiar problemów stojących przed ruchem narodowym w kraju.

JERZY CZECH

(C.)

ANGOLA

SZEROKI PROGRAM ODBUDOWY KRAJU

mu — taki jest program nakreślony przez kierownictwo Ludowego Ruchu Wyzwolenia Angoli (MPLA).

Odbudowa narodowa oznacza przede wszystkim szybka odbudowę zniszczonej gospodarki, zwiększenie produkcji i nowa orientację przemysłu. Do chwili odzyskania niepodległości 700 tysięcy portugalskich kolonistów trzymało w swych rękach wszystkie administracyjne i ekonomiczne dzwignie. Obecnie 80 proc. spośród nich opuściło Angole. Wyjechałi wraz ze swymi samochodami, zabrali należące do nich staki, niektórzy zagarnęli znaczne sumy pieniędzy z kasy państwowej, zabrali księgi buchalterne i techniczne dokumentacje wielu przedsiębiorstw. Kraj został nagle pozbawiony większości nauczycieli, lekarzy, specjalistów technicznych.

A tymczasem południowoafrykańskie i zairskie oddziały wojskowe rozpoczęły na ziemi angolijskiej systematyczny rozbiór: napadały na obojczy i transporty samochodowe, zburzyli ponad 130 mostów, zabijali i rozzaniali bydło, pozbawili kraj dwóch trzecich samochodów, grabili miasta, osady i wsie. Wojska ta spo-

500 jednostek produkcyjnych, z których 70 już znacjonalizowano. W najbliższym czasie rząd zamierza obcią kontrola państwowa 80 procent przedsiębiorstw. Ale największa jego troska jest uporządkowanie produkcji.

Wiele fabryk i przedsiębiorstw zaprzestano produkcji z powodu braku specjalistów, surowców i części wymiennych, a te zakłady produkcyjne, które pracują wykorzystują zaledwie 10—15 procent swojej mocy produkcyjnej. Zmniejsza się wydajność pracy. Zachodnie firmy i banki prowadzą politykę bezpośredniego dławienia angolijskich przedsiębiorstw, odmawiając udzielania im kredytów i żądając opłat w gotówce.

Wynikała też o problemu zbytu, konieczność utrzymywania produkcji na takim poziomie, żeby zaspościć potrzeby gospodarki narodowej i zbytu na nowych rynkach eksportowych. Nafta, żelazo, ruda uranu, mangan, miedź, fosfat, diamenty... Angola posiada ogromne bogactwa naturalne. Eksploatują je wielonarodowe kompanie: naftę w Kabinzie, diamenty. Zdaniem MPLA bogactwa naturalne są podstawowym źródłem gromadzenia kapitałów. Rząd zamierza je

W WARSZAWIE O WSPÓLPRACY I PLON WIZYTY L. BREŻNIEWA

Dwa wydarzenia początku kalendarzowego lata zwracają uwagę przede wszystkim: XXXI sesja RWPG, której obrady toczyły się w Warszawie oraz wizyta Leonida Breżniewa w Paryżu.

3-dniowe obrady RWPG poświęcone były ocenie rozwoju współpracy od poprzedniej sesji oraz omówieniu najważniejszych problemów, które obecnie trzeba rozwiązywać. Zakończyły się one przyjęciem uchwały i innych dokumentów, odzwierciedlających zagadnienia omawiane w czasie obrad.

W ostatnim okresie nastąpił dalszy rozwój stosunków ekonomicznych i wymiany handlowej między krajami członkowskimi. Rozszerzyła się i pogłębiła specjalizacja i kooperacja między różnymi działami wytwórczości, umocniła współpraca naukowo-techniczna. Wszystko to nastąpiło w czasie, kiedy nie ustają zjawiska kryzysowe na Zachodzie. Na tym tle tym bardziej podkreślić należy wysiłek socjalistycznych metod gospodarowania i siusność obranej drogi przyjacielskiej współpracy krajów RWPG.

Przyjęta uchwała szczególnie akcentuje zadania, związane z przyspieszeniem długoterminowych, kierunkowych programów współdziałania.

Dotyczy one takich podstawowych dziedzin, jak: paliwa i energia, budowa maszyn, produkcja artykułów masowego spożycia, wytwórczość rolna, transport... Określa ona ponadto ogólne zasady współpracy w produkcji urządzeń dla energetyki atomowej i sugeruje potrzebę specjalizacji specjalizacji zainteresowanych krajów w tej dziedzinie.

Uchwała podkreśla, że realizacja owych długoterminowych programów przyniesie oczekiwane rezultaty wówczas, gdy będą one oparte o koordynację narodowych planów gospodarczych.

W czasie pobytu w Warszawie z przewodniczącymi delegacji na XXXI sesję RWPG (z reguły byli to premierzy rządów) spotkał się Edward Gierek.

Prasa europejska szeroko komentuje przebieg i wyniki warszawskiej sesji, podkreślając najczęściej nowe stadium, w jakie wkracza socjalistyczna integracja. Świadczy o tym — piszą obserwatorzy — porządek dzienny sesji, w którym dominowały cele długofalowe (na 10—15 lat). Jeśli ustala się je tak szczegółowo — najlepszy to dowód, jakie już osiągnięto postępy. Jednym z nich jest rozwój gospodarczy krajów RWPG na sta-

łym poziomie, nie zakłócany żadnymi zjawiskami kryzysowymi.

Komentatorzy zwracają uwagę również na fakt, iż wiele miejsca w czasie obrad zajęło zagadnienie wspólnego rozwiania źródeł energii i surowców.

A teraz o drugim wydarzeniu tygodnia: wizycie Leonida Breżniewa — już także jako przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRR — we Francji.

Przyniosła ona bogaty plon — Leonid Breżniew i Valery Giscard d'Estaing podpisali wspólną deklarację radziecko-francuska, wspólne oświadczenie w sprawie odprężenia międzynarodowego oraz radziecko-francuska deklarację o nierozpowszechnianiu broni jądrowej. Równocześnie ministrowie obu stron podpisyli umowy o współpracy w dziedzinie transportu i chemii oraz protokół do programu zacieśnienia współpracy na polu gospodarczym i przemysłowym z ważnością na 10 lat.

W toku rozmów obaj mężowie stanu wiele uwagi poświęcili Europie i dalszym przedsięwzięciom po Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy. Obie strony są zdania, że postanowienia Aktu Końcowego powinny być realizowane całkowicie i dynamicznie. Osiągnięcie tego celu może ułatwić spotkanie sygnatariuszy w Belgradzie. Odprężenie osiągnie prawdziwy rozmach wtedy, kiedy wszystkie państwa uczestniczące w helsińskiej konferencji bę-

STO LAT „DIABELSKIEJ” SKRZYNKI

W kwietniu minęło sto lat od dnia, w którym francuski wynalazca, Charles Cros, przesłał do Francuskiej Akademii Nauk opis skonstruowanego przezeń przyrządu, któremu nadał nazwę „paleofonu”. Przyrząd ów, jak twierdził wynalazca, jest zdolny do „przekazywania wszystkich dźwięków, włącznie z głosem ludzkim, zapisując je na obracającym się cylindrze”. Cros wynalazł fonograf mechaniczny.

Bardziej poeta niż uczony, Cros mało zabiegał o dopełnienie formalności związanych z zarejestrowaniem praw autorskich. Bardziej praktyczny okazał się Amerykanin Thomas Edison. Opierając się na tej samej zasadzie, skonstruował aparat składający się z rejestratora i reproduktora, który opatentował 16 grudnia 1877 roku pod nazwą fonograf. I tak odkrycie zapowiadające XX stulecie wymknęło się Francuzom z rąk.

Odtworzenie ludzkiego głosu wydawało się w owym czasie zjawiskiem tak nieprawdopodobnym, że urządzenie to nazwano „diabelskim wynalazkiem”. Wiele poważnych ludzi, nie szczędząc pieniędzy i czasu, odbyło podróży z Europy do Ameryki, żeby tylko przyłapać Edisona na „szarlatanerii i oszustwie”. A kiedy fonograf Crosa został wreszcie także oficjalnie zarejestrowany przed Francuską Akademią Nauk, jeden z akademików wykrzyknął: „Na sali jest bruchomocwa!” — po czym z godnością wstał z fotela i opuścił salę Akademii, oburzony na swoich kolegów, że nie poszli za jego przykładem.

Edison, będąc człowiekiem bardziej rzućkim i obrotnym, szybciej niż Cros ulepszył swój aparat i po upływie kilku lat mógł go już wprowadzić do produkcji przemysłowej. Na podstawie swego systemu Edison skonstruował w 1895 roku urządzenie będące „projemem” współczesnego automatu. Znana firma braci Pathe opracowała w tymże roku urządzenie do nauki języka obcego: na ekranie ukazywały się słowa i zdania, a fonograf przekazywał jednocześnie ich wymowę — były to zaczątki audiowizualnej metody nauczania. W 1905 roku dokonywano pierwszych prób z „mówiącą korespondencją pocztową”. Ciekawe, iż pojawienie się fonografu z początku nie entuzjazmowało znanych śpiewaków, którzy, obawiając się stracić widzów, nie spieszyli się z zapisywaniem swego głosu. Dzięki fonografowi doczekały naszych czasów utwory Debussy'ego, Griega, Saint-Saens'a w autorskim wykonaniu. Tak więc po upływie dziesięcioleci miłośnicy muzyki mają możliwość usłyszenia utworów wielkich kompozytorów i muzyków minionych czasów. Dziś fonograf jest muzealną rzadkością, ale płyta przekształciła się w przedmiot „szerokiej konsumpcji”. Charles Cros i Thomas Edison nie mogli przewidzieć, że ich „diabelskie skrzynki” zrobią kiedyś aż tak zawrotną karierę.

W. ŚLAWSKI

LATO

Wszyscy z utęsknieniem czekają na lato, ale lato w naszych warunkach klimatycznych jest krótkie. Ledwie przyjdzie, już odchodzi. Może to i dobre. Dla kibiców sportowych szczególnie, jako że latem w sporcie dzieje się niewiele. A przynajmniej nie to, co kibiców interesuje najbardziej, co wzbudza w nich największe emocje.

Tegoroczne lato nie zaczęło się dla nas najlepiej. Najpierw nasza kadra piłkarska wozująca po Ameryce Południowej przegrała z reprezentacją Argentyny i Brazylii. A teraz nasza reprezentacja lekkoatletów przegrała trójmecz w Karl-Marx-Stadt z NRD i ZSRR. W tym mieście — zaprzyjaźnionym zresztą z Łodzią — najlepiej wypadli gospodarze. NRD pokonała lekkoatletów ZSRR 125:97, a Polskę 135:87. Natomiast ZSRR pokonał polskich lekkoatletów stosunkiem punktów 128:95. Taki był stosunek punktów jeśli chodzi o konkurencje męskie. W konkurencjach kobiecych nie było lepiej. Tutaj również triumfowały lekkoatletki NRD.

Nasi lekkoatleci wywieźli z Karl-Marx-Stadt tylko cztery zwycięstwa. Wprawdzie Irena Szewińska na 100 m była dopiero piąta, ale już w konkurencji na 200 m wygrała i uzyskała najlepszy czas na tym dystansie w tym roku na świecie. Nie zawiódł również Władysław Kozakiewicz, nie zawiódł Bronisław Malinowski. Natomiast Jacek Wszola wypadł słabo, zajmując dopiero czwarte miejsce.

Tutaj rodzi się ciągle aktualna wątpliwość. Czy rekordzista, mistrz olimpijski lub mistrz świata musi nieustannie zwyciężać, nieustannie musi potwierdzać swoje mistrzostwo? Nie od dziś wiadomo, że każdy sportowiec może mieć okresy słabszej formy! Czy wtedy powinien występować? Na wątpliwości te nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Kibiców jednak zawsze niepokoi, kiedy w sportowej konfrontacji kilku czołowych zawodników nie demonstruje najwyższej formy. W Karl-Marx-Stadt wysokiej formy nie demonstrował również Tadeusz Ślusarski.

Nie powiodło się w Wimbledonie Wojciechowi Fibakowi. W walce o awans do ćwierćfinału przegrał on ze Szwedem Bjornem Borgiem i w konsekwencji zajął ex aequo od 6 do 16 miejsca. W tym roku w ogóle Wojciechowi Fibakowi nie najlepiej się wiodło, ale przecież nadal utrzymuje się w czołowej grupie tenisistów na świecie. Gorzej natomiast, że zaraz za Wojciechem Fibakiem powstawała luka, że jego potencjalni następcy pozostają daleko w tyle. Wprawdzie dzięki Wojciechowi Fibakowi i jego światowemu zwycięstwom, a nawet tylko obecności na korcie w najważniejszych turniejach, tenis stał się w Polsce nadzwyczaj popularny, zaczęła budować korty, ale na skutki tej popularności trzeba długo będzie czekać.

Nie najlepiej wiodzie się piłkarzom, którzy rozpoczęli już grę o Puchar Lata. Ruch Chorzów przegrał w Kopenhadze, szescińska Pogoń zremisowała u siebie z KB Kopenhaga, a tylko Zagłębie Sosnowice wygrało z SK Lillestøem. 2 lipca 1977 roku w Warszawie kolejny mecz ze szwedzką drużyną Landskorona rozegra Legia. Ale to dopiero początek.

Do tej pory nie było wiadomo, że naszym piłkarzom w Pucharze Lata, w 15 rozgrywkach pucharowych, prowadzonych w poszczególnych grupach, polskie zespoły zdobyły 30 pierwszych miejsc. To wcale nie jest zły rezultat. Ale sukcesy zdobywane w Pucharze Lata uchodzą na ogół uwadze kibiców. Nie mała też ranga tego znaczenia, co inne międzynarodowe spotkania naszych klubów. Na przykład w ubiegłym roku debiutując w spotkaniach międzynarodowych zespół Widzewa też zanotował sukces, co jednak uszło ogólnej uwadze, jako że działo się to w czasie, kiedy wszyscy entuzjastycznie się igrzyskami w Montrealu.

Ale żeby nie było nam smutno, bo lato jest piękna pora roku i trzeba cieszyć się słońcem i powietrzem, więc aby nie było nam smutno, na koniec radosna wiadomość z Aten, gdzie zespół prowadzony przez polskiego trenera Kazimierza Górskiego — ateński Panathinaikos został nie tylko zdobywcą Pucharu Grecji, ale też mistrzem Grecji. Jak twierdzi sam Kazimierz Górski — nie zakładano sobie takiego sukcesu. Chcieli uplasować się w pierwszej trójce, aby zakwalifikować się do rozgrywek europejskich. Piłkarze Panathinaikos byli jednak bardzo żądni zwycięstw i kiedy powstała możliwość „pójścia na całość”, zagrali wszystko, co było do zdobycia.

Kazimierz Górski stał się postacią niezwykle popularną w Grecji. Kibice ateńskiego klubu manifestowali nawet na jego cześć i cześć ukochanego klubu. Wielu kibiców z radością wykapało się w ubraniach w wodach fontanny położonej w centrum Aten. Kazimierzowi Górskiemu i od nas należą się najserdeczniejsze gratulacje!

BOGDA MADEJ

LEKTURY NA LATO

Tydzień Piotra Sokala

EUGENIUSZ IWANICKI

Rozpoczynamy druk fragmentów powieści Eugeniusza Iwanickiego, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

Na pytanie być albo nie być, dził odpowiadam: zastanawiam się. Jaki sens ma życie, skoro nie mogę w nim zaznaczyć swojej obecności? Przemijam bez śladu przez nikogo nie zauważany, niepotrzebny, obcy. Nieudacznik. Niegdyś naśmiewałem się z facetów noszących na twarzach piętno skrzywdzonych geniuszy; przekonywali wszystkich, że zostali zepchnięci na boczny tor, że wszczęto przeciwko nim nagonkę, że gdyby tylko pozwolono, umożliwiono, dano szansę, wówczas by pokazali, rzucili świat na kolana. Spotykałem ich w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki, u plastyków, w Klubie Dziennikarza, najczęściej w Spatifie. Zylili nie wiadomo z czego, prowadzili nie kończące się dyskusje, dawali do zrozumienia, że w ciszy własnych mieszkań pracują nad wielkopomnymi dziełami, oglądali nihilistyczną filozofią młode studentki, pili. Byli śmieszni i żalśni, Nieudacznicy.

Dziś zastanawiam się, czy sam nie należę do grupy osobników pozbawionych talentu, którym w wypadku sprzyjających okoliczności parę razy coś się udało. Już przedtem zauważyłem, że pisanie przychodzi mi z trudem, że doszczętnie się spaliam, tracę siły, powtarzam wypracowane chwytły, a moje reportaże są niczym bliźniaki. Lecz była Wiśka i wiedziałem, że będę dotąd ciągnął, aż padnę z wycieńczenia lub przełamie ogarniającą mnie jednostajność i szablonowość. Mogłem oszukiwać kolegów w redakcji i czytelników, nie mogłem kłamać sobie. Wiśka była mi potrzebna, abym wierzył we własne siły.

Jeszcze tego samego wieczora po powrocie z Kazimierza, zostawiłem gospodynię przy rozpoczętej butelce i poszedłem w miasto. Było mi absolutnie wszystko jedno dokąd dojdę i czy dojdę w ogóle. Klęska była tak wielka, że przestałem reagować na otoczenie. Właściwie nie odczuwałem zawodu. Zjawilo się otepienie. Wszystko stało się odległe, dalekie, szare, mało istotne. Jakby klęska dotknęła nie mnie osobiście, tylko kogoś innego, obcego mi człowieka, a patycznego i bardzo, bardzo starego. Nawet nie postawiłem sobie pytania: dlaczego to zrobiła. Cokolwiek bym odpowiedział, byłoby to kłamstwo, próba usprawiedliwienia własnej porażki.

Nie wiem kiedy znalazłem się na krańcowym autobusie 99. Było pusto, jakaś para całowała się po drugiej stronie wiaty. Zaczynał drobny, kłujący deszcz. Autobus długo nie nadjeżdżał. Noc trwała w ciszy i czerni.

Od strony miasta pojawiły się światła: nadjeżdżał samochód. Kiedy zbliżył się, poznałem po sterzającym kocuie taksówkę. Wysiadł mężczyzna i chwycił się powłoki po rozmiętej glinie w stronę sadów.

— Panie — powiedziałem — zawiadź mnie pan na wódkę.

— Ale dokąd?

— Wszystko jedno.

— Jaka ma być knajpa: luksusowa, podrzędna czy taka gdzie można się zabawić?

— Gdzie można się zabawić.

— Znam taką jedną, nawet niedroga. Tam, kochany, przychodzą ludzie z towarzystwa. A jakie dziewczynki...

— Nie zależy mi, jedź pan gdzie chcesz.

— No to jazda. Będzie mi pan jeszcze dziękować, przekonasz się pan.

Fiat ostro zawrócił, zawył na wysokich obrotach, potoczył się płynnie i szybko. Niewiele widziałem, pogrążony w myślach — niemyślach, w otepieniu, zobojetnieniu. Zauważyłem jedynie, że przecięliśmy ulicę Pryncypalna, minęliśmy dworzec kolejowy i podążamy na północ miasta. Dotąd nie byłem w tej dzielnicy. Zła

śława uczyniła ją nieprzystępną, izolowaną, omijaną. Wieczorami nikt z obcych nie odważał się tu zapuszczać, nawet patroli milicji niechętnie przemierzali stare zaułki, wyboiste ulice, cuchnące bramy. Całe miasto czekało, aż buldożery zrównają ten teren pod nowe bloki. Lecz dotąd jakoś nie spieszone się z budową, stare chałupki ucepiłone krętych uliczek w dalszym ciągu dymiły w niebo ze swoich wystużonych kominów.

— A, za przeproszeniem, jakie pan lubi?

— Głos taksówkarza wyrwał mnie z odrętwienia.

— Co, proszę?

— Pytam, w jakich pan gustujesz?

— Jest mi to obojętne.

— W takim razie najlepiej do Mary.

W strugach ukośnego deszczu wylądowały z mroku niskie, parterowe drewniaki, płoty, ogródki z karłowatymi drzewkami. Ludzie spali dusząc się w ciężkim, odorującym powietrzu niskich domków.

— Jesteśmy — odwrócił się taksówkarz. — Pójdę pierwszy.

Przeszliśmy przez wąską furkę, szybko przemierzaliśmy lilipucie podwórko, potem był niewysoki płot a za nim miękka, rozkiśta ziemia. Stopy zapadały głęboko, woda wlewała się do butów, chlupot stawał się nie do zniesienia.

— Niech pan tu stanie, tu tak nie leje.

Oparłem się o ścianę. Nad głową zwiślał daszek, zaledwie parę deszczek, po których ściekały strugi wody. Po prawej ręce było okno, po lewej drzwi. Panowała cisza, tylko woda waliła nieustająco wodospadami napelniając noc jednostajnym szumem.

Nie spostrzegłem kiedy zabył się w oknie światło, ani kiedy otworzyły się drzwi.

— Proszę do środka — powiedział kobiecie głos i ktoś pociągnął mnie za rękaw.

Ostre światło uderzyło w oczy, czerwone obręcze wypełniły czaszkę. Dopiero po chwili dostrzegłem stare krzesła, okrągły stół, szerokie, dobowe łóżko z rozrzuconą, zmiętą i brudną pościelą, olejny obraz przedstawiający świętego Józefa przy pracy, nieczynny zegar z ciężarkami. Kobietę dojrzałem na końcu: stała prawie poza mną, trochę z boku i spoglądała na mnie z ciekawością i spokojną powagą. Była w długiej seledynowej koszuli, z rozczochranymi włosami tego, biała i silna.

— Kim pani jest? — zapytałem nie bardzo rozumiejąc gdzie jestem.

— To ja, powinnam wiedzieć z kim będę miała przyjemność. Ty przyjechałeś do mnie, nieprawdaż?

— Prawda, wypada się przedstawić.

— Po co? — zaśmiała się. — To nie ma znaczenia.

Spoza kobiety ukazał się taksówkarz starał się ukryć chytry, szelmowski uśmiešek.

— Nakryj! — powiedział szorstkim głosem. — Nie widzisz, że klient ledwo się trzyma na nogach?

Kobieta wyszła bez słowa, a ja poczułem, że muszę natychmiast uścisnąć, bowiem moje nogi stały się miękkie, wiotkie, słabe, stały się sprężystość.

— Daj pan płaszczyk, o jaki mokry! Szaliczek także. Powiesimy to tu, przy piecu, do rana wyschnie.

— Do rana?

— Panie, te piece stawał jeszcze świętej pamięci Matuszewski. Jeden szanot, Pól włądca węgla, a tak-byś pan napalił w lokomotywie.

Zjawiała się kobieta z wódką, chlebem i puszką dorsza w sosie pomidorowym. Widok ceglastej papki wy-



Rys. Janusz Szymański-Glan

wołał u mnie czkawkę. Wszystko tu było obrzydliwe: stół przykryty wytartą ceratą, dorsz, kobieta w seledynowej koszuli.

— Na zdrowie! — powiedział taksjarsz. — Pij pan, bo zapalenie płuc murowane.

Przechyliłem jednym ruchem nie czując smaku alkoholu. Wypiłbym każdą podaną mi ilość byleby jak najszybciej przestać odczuwać zżerającą mnie samotność. Spostrzegłem jak taksjarsz i kobieta wymieniają ze sobą krótkie spojrzenia. Za oknem huczala ulewa, pluskala woda spadająca z dachu, dzwoniły szyby od grubych kropli. W tej nocy, o kilka kilometrów stąd, leży dziewczyna i obejmując nieznanego mi mężczyźnię, wsłuchuje się w siekący zimny deszcz.

— Dlaczego, Wiśka, dlaczego to zrobiłaś?

— Jej Celina — powiedział taksjarsz.

— Wiśka, albo żadna inna! — krzyknąłem zrzucając kieliszek na podłogę. — Słyszysz?

— Ale mi Celina...

— Zgódź się — powiedział ugodowo taksjarsz. — Jak klient żąda, to trza być Wiśką.

— Glupia, przecież Celina, a od bierzmowania Maria...

— Idiotka! — zdenerwował się taksjarsz. — Co to jego obchodzi? Lepiej nalej, a panu daj nowy kieliszek. Nasze zdrowie!

Kobietę wódka wprawiła w radosny nastrój, więc nie dawała za wygraną:

— Człowiek musi kochać własne imię, inaczej będzie jak ten śmieć. I ludzie takiego nie uszanują, i uznania znikąd.

— Zamknij się! — warknął groźnie taksjarsz. — Pańskie zdrowie!

Pragnąłem jednego: by to wszystko nagle zawirowało, by ta chałupa, olejny bohomasz, taksjarsz i kobieta rozplynęli się w niepamięć, aby zjawiała się błogosławiona ciemność i lot, niekończące się opadanie, sen podobny do nieistnienia. Gdzie jestem, co to za ludzie, dlaczego siedzę tu i piję daleko od domu, od Wiśki, w obcym mieszkaniu. Ech, schwyćcie ten stół, wyrwócie, wyrwacie okno wraz z futryną, otworzyć siebie na spotkanie nocy, biec, pedzić w nieustającym szumie, w strugach deszczu i wiatru, gnać przed siebie, aż światła ogromne niezym słońca powróć przywrócą świadomość. Czy naprawdę muszę tkwić za tym stołem? Precz ze słabością! Więcej światła!

— Panie! — zerwał się taksjarsz. — Coś pan zwirował?

Kobieta uwieszona mojego ramienia piszczała lubieżnie.

— Tak się nie godzi — mówił taksjarsz. — My do pana jak ludzie, a pan zaraz...

— Idź już Bolek, idź sobie — odepchnęła go kobieta. — Czy nie widzisz, że ma dość? Słuchaj, jak ci na imię? Zresztą wszystko jedno. Dawaj, pomogę. O ubranko masz niczego, pewnie ze trzy kosztowało. A jaki zegarek! Bolek, mówiłam, że-byś sobie poszedł. A nie waż mi się czego tknąć — przetrąca. Jestem uczciwa kobieta, u mnie klient płaci, nie muszę go okradać. Bolek, zostaw ten

szalik, rozumiesz skurwielu? Jutro cię tu widzę z samego rana, przyjeżdżesz po gościa. E, zdaje mi się, że z miłości będą nici, ale i tak ci policzę, policzę za wszystko. Posuń się, też mam dość tego cyrku.

Rozumiałem wszystko, ale nie miałem siły by cokolwiek powiedzieć. Było to upokarzające i wstrętne. I gdy tylko padłem na łóżko, poczułem jak lece w dół, coraz szybciej i szybciej. Nie, nie miałem siły ani czasu by ten upadek powstrzymać.

Obudziłem się obok innej, rozgrzanej kobiety. Czas od momentu wyjścia z domu do tej właśnie chwili nie został zarejestrowany przez pamięć.

— Gdzie jestem?

— U mnie — mruknęła i odwróciła się ku mnie, podkładając bulchne ramię pod głowę. W wycięciu seledynowej koszuli poruszyły się miękkie piersi.

— Nie rozumiem — usiłowałem coś sobie przypomnieć, ale ciągle natrafiałem na pustkę.

— Nie warto — powiedziała nie otwierając oczu. — Chcesz?

— Nie pojąłem, dopiero kiedy poczułem jej ręce na swoim ciele, ogarnęło mnie obrzydzenie, wstręt do samego siebie. Zerwałem się, na ile to było w tej sytuacji możliwe, i zacząłem wkładać ubranie. Kobieta siedła na krawędzi łóżka, ziewnęła, przeżegnała się w stronę obrazu ze świętym Józefem.

W drzwiach ukazała się głowa taksjarsza. Jego uśmiech był konfiden-

cjonalnie oblesny, uniżenie familiarny.

— No, to na kota, — powiedział stawiając półlitrowkę na stole. — Inaczej będzie pana łamać.

— Siedem stów — powiedziała kobieta.

— A mój kurs? — odwrócił się taksjarsz. — Nocna taryfa.

— Ja tam nie wiem. Dla mnie siedem stów.

Wyjąłem dwie pięćsetki i położyłem na stole. Chciałem jak najszybciej znaleźć się na powietrzu. Duszę się w tym skisłym smrodzie ni-zultkiej chałupki.

Kobieta zeskoczyła z łóżka i zanim taksjarsz wyciągnął rękę, już chwyciła pieniądze, już je unosiła w stronę toaletki.

— Nie wyglupiaj się — krzyczał taksjarsz. — Zmarnowałem cała noc!

— A ja? Pomyślałem o mnie? Zresztą nie mam drobnych. Rozmienię — to dam.

Taksówkarz odsunął kieliszek i oparłszy głowę na rękach zapłakał.

— To się nazywa żona, niech to szlag trafi.

— Jak to? — nie pojąłem.

— Oczywiście. Jesteśmy na dorobku: dom, teścia, samochód szwagra. Jestem golec, biedniejszy od tej myszy kościelnej. Chodźmy, odwieźże pana.

W domu, nie odpowiadając na pytania gospodyni, rzuciłem się na łóżko i zasnąłem natychmiast.

(cdn.)

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

OPOLE PRZEZ LUFCIK

Wież nazwał kiedyś telewizję „radiem z lufcikiem”. Przez taki właśnie lufcik oglądałem Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu, będąc w sytuacji „ypowej”, bowiem zdecydowana większość czytelników zna ten piosenkarski maraton i rozrywkową giełdę także wyłączenie z telewizyjnego lufcika.

W rytm piosenek popłynęły refleksje. Otóż niedawno odbył się w Łodzi Ogólnopolski Konkurs Młodych Talentów p.n. „Nowe twarze polskiej piosenki”. Boże drogi! Ileż to było wydziwiania, jakie perły dowcipu i kpiny spadały na gazetowy papier! Nie tylko zresztą w tym roku, ale i w poprzednich.

I — co ciekawe — jak z tych kpinek cieszyli się ludzie, jaka osobista radość sprawiała różnym panom, to że konkurs ktoś skrytykował, że warszawska gazeta poddała w wątpliwość obiektywizm jury, że inne pismo oceniło bardzo nisko poziom wykonawców...

Patrzę teraz przez lufcik na koncerty Festiwalu Opatowskiego i cóż widzę! „Podaj rękę w taki czas” — typowy przebieg, który już dziś śpiewa cała Polska, dostojne jury plusuje na ostatnim miejscu. W jury zasiadają — oczywiście — fachowcy, ale przecież są wśród nich zawodowi autorzy tekstów piosenek, zawodowi kompozytorzy, rozrywkowicze. Ludzie, którzy nie mogą być obiektywni, bo oceniają piosenki kolegów (wrogów i przyjaciół), bo oceniają wykonawców, którzy śpiewają (śpiewali lub będą śpiewać) ich utwory.

Zapyta ktoś: „No, dobrze, ale kto w takim razie ma zasiadać w jury?” Odpowiem. Ależ właśnie oni! Tak jest — to dobrze, że w jury siedzą fachowcy z branży, kliniczny obiektywizm w ocenie sztuki, a więc także sztuki estradowej, jest po prostu niemożliwy, więc te subiektywne obciążenia

nie są złem, albo są złem koniecznym.

Tylko, dlaczego — pytam nieśmiało — w wypadku Opatowskiego nie raz, dlaczego „Express Wieczorny” nie protestuje, a dlaczego w Łodzi jest to wykreślenie? Dlaczego te same zasady doboru jury (ba, nawet ci sami ludzie) nie razą stołeczną prasę w Opolu, a razą w Łodzi?

Andrzej Trzaskowski, przewodniczący jury na jednym koncercie, na następnym jest kierownikiem muzycznym. Andrzej Wróblewski jest kierownikiem literackim jednego koncertu, zasiada w jury na koncercie następnym. Ludzie realizujący program Festiwalu Opatowskiego i ludzie oceniający ten program tworzą bardzo ścisły obwód zamknięty.

Nie raz to ani „Expressu Wieczornego”, ani „Życia Warszawy”. Osobiście uważam, że taki obwód zamknięty jest koniecz-

ny (albo, że jest jedynym możliwym wyjściem), bo lepiej mieć do czynienia z nieobiektywnym fachowcem niż z ignorantem, którego pozorny „obiektywizm” wpływa po prostu z niewiedzy.

Zawsze się jednak tak dziwnie składa, że owe sytuacje tolerowane na imprezach „dominowanych przez stolicę” — budzą żywy sprzeciw stolicy na imprezach organizowanych poza Warszawą.

Łódzki koncertom „Nowe twarze polskiej piosenki” zarzucano zawsze niski poziom. Ale oglądam Festiwal Polski przez telewizyjny lufcik i co widzę?

Otóż widzę Stanisława Węglorza wyłansowanego przez Łódź i nagrodzonego rok temu w Łodzi. Widzę znane twarze z tegorocznego przeglądu w Łodzi, jak choćby Ryszarda Wagnera czy Danutę Stankiewicz. Na koncercie w Łodzi tworzyli oni „niski poziom”, na koncertach zorganizowanych przez Telewizję w Opolu nie raz i są w porządku. Dziwna dialektyka rodem z Księstwa Warszawskiego.

WIDOK

LEWYM OKIEM

DWA KROKI BLIŻEJ...

Nieraz już — w różnych kontekstach — czytałem legendę o tym, jak to w niektórych krajach robi się z helikoptera zdjęcia terenów po to, żeby widoczne na nich wydeptane szlaki wytyczyć następnie jako drogi i ścieżki wśród pól, trawników i skwerów. W ten sposób sięć dróg i ścieżek na najlepiej odpowiada prawdziwym potrzebom ludności, co z kolei zapobiega poważnej destrukcji trawników: trawniki bowiem zakładają się tam, kiedy nikt nigdy nie ma potrzeby przechodzić.

Felietonista naszego tygodnika, Widok, przypomina ową helikopterową metodę twierdząc, że trawniki łódzkie są deptane i niszczone właśnie dlatego, że ktoś je złośliwie założył na trasie przemarszu tysięcy spieszących się ludzi. Zajmąmy zielenie gdzie indziej, a nikt ich nie podepcze — mówi Widok.

Zanim wiśnięliśmy do helikopterów, mam ochotę sprzeciwić się leutentowi a kanikularnie memu sąsiadowi z niniejszej strony. Znam taki narożnik w Łodzi, gdzie posiano trawę ku ozdobie oraz żeby skiero-

wać przechodniów do zebrzy, zmusić ich do przekraczania, jedni we właściwym, bezpiecznym miejscu. Nic z tego. Ludzie woleli przekraczać jezdnię w miejscu najgorszym, byle zaoszczędzić pięć kroków drogi; deptali przy tym trawę. Zieleniec — już z urodzenia niewielki — przecięto wreszcie chodnikiem. Wtedy wydeptano ścieżkę obok, żeby zaoszczędzić dwa kroki. Położono jeszcze jeden chodnik — również nie uchronił maleńkich trzeźwych trawniczków od deptania. Teraz cały narożnik zalano betonem a wzdłuż jedni zawieszono łańcuchy. Przechodnie muszą podejść do zebrzy, i to jest słuszne. łańcuch zmusił, trawa i kwiaty — ładniejsze od łańcuchów — okazały się za słabe.

Bardzo piękna to idea: zlikwidować wszędzie wszystkie płoty, kraty, przeszkody. Park na Julianowie ogrodzony był niedgdy żelaznymi sztachetami, tak samo Park Paderewskiego w Warszawie, który — jeszcze jako Skaryszewski — był parkiem mojego dzieciństwa. Wchodziło się tam przez bramę i człowiek od razu znajdował

się w innym świecie. Krata podkreślała jeszcze tę inność, a jednocześnie pozwalała rosnąć i rozkwitać przepięknie najrozszybszym krzewom. Teraz do obu parków wchodzi się nie przez bramy, tylko przez trawniki, w każdym miejscu, byle gdzie. Nie ma już pięknie kwitnących krzaków wzdłuż ulicy Zgierskiej i wzdłuż Alei Zielenieckiej, tak samo jak nie ma zielonej, puszystej trawy wzdłuż ulicy Żeromskiego: są ścieżki, ścieżki, ścieżki. Pod każdy krzak, gdzie ciśnięto ławkę przeniesioną z alei, bo tam ciemniej, pod każde drzewo, użytkowane zastępczo zamiast szaletu i w ogóle tak sobie, żeby było o krok bliżej.

Znam blok mieszkalny, oddzielony od ulicy szerokim pasem zieleni. Do każdej sieni wchodzi przez zielenie prostopadły chodnik, bo to najkrótsza droga. Ale każdy mieszkaniec wychodzący z sieni udaje się następnie ulicą w lewo lub w prawo. Wobec czego od każdej sieni wiodą w lewo i w prawo skośne ścieżki wydeptane wprost przez trawę, a jest tych ścieżek nie po dwie, tylko dużo więcej, pod różnym kątem:

bo jeszcze ścieżka do kiosku po papierosy, i do przystanku autobusu, i do wiaty przystankowej, czyli dwa metry bliżej. Po co tu helikopter? Zalać betonem i spokój!

Zielen w naszym mieście nie cieszy się absolutnie sentymentem mieszkańców i nie ma co usprawiedliwiać tej ponurej sprawy błędami w rozplanowaniu zieleni. Zobaczenie trawniki w tych porach roku, kiedy trawy nie ma; są po prostu pustymi placami, po których każdy chodzi jak chce, jeździ jak chce, handluje czym może. Tam już nie wyrosnąć nie może, choćby wiosna była nie wiem jak przyjazna. Zobaczenie park w Helenowie, gdzie jak rok długi gra się w piłkę na tak zwanych trawnikach, oczywiście do cna zajeżdżonych i tyszch, chociaż są takie miejsca do gry wyznaczone. Co prawda — zbyt wiele takich miejsc w Łodzi zalano betonem. Ktoś, kto to zrobił, był na pewno patologicznym wrogiem młodzieży. Niechby próbował bronić bramki i na betonie! Niech by rzucił się na beton z „robinsonadą! Stąd pokusa kopania na trawnikach.

Ala — jeszcze raz — po co tu helikopter? Tu trzeba metod znacznie rzadszych i kosztowniejszych: rozsądku i kultury!

ĆWIEK

PROPOZYCJE

KTO SIĘ NIE MYLI?

Mylić się jest rzeczą ludzką — twierdził starożytny Rzymianin i miał rację. Nie mylił się tylko ten, kto nie robi — twierdził starożytny Chińczyk i też miał rację. Ale różne są pomyłki. Z jednej można się pościć, nad innymi trzeba do porządku dziennego, na inne wystarczy tylko zwrócić uwagę, a jednak i takie, które drażnią, denerwują, a są i takie które rodzą bardzo poważne skutki.

Pomyłka jaka zdarzyła się poczę w Radomsku na szczęście nie należy do tych ostatnich. Warto o niej wspomnieć, aby na przyszłość nie zdarzały się podobnym urzędnikom takie pomyłki. A dotyczy ona pozornie drobnostki — telegramu.

Sa ludzie, którzy bardzo nie lubią otrzymywać telegramów, rozumiejąc słusznie, że telegram wysła się w sytuacji, kiedy trzeba kogoś zawiadomić o czymś ważnym, a nie ma czasu na pisanie nawet najkrótszego listu. Sa ludzie, którzy gdy biorą do ręki zapieczony telegram, błędnie i ręce zaczynają im drżeć, a serce jakby zatrzymywało się w swojej pracy. Oto za chwile telegram zostanie otwarty i okaże się, że...

naturalnym, a mimo to bardzo smutnym. O śmierci też zawiadamia się telegraficznie. Na taką wiadomość odpowiada się telegraficznie przesłanymi kondolencjami. Czasem przeczytany w prasie nekrolog jest już wystarczającym powodem, aby znajomym, przyjaciółmi, czy dalszej rodzinie wysłać kondolencje, dając tym dowód, że się pamięta o nich w trudnej sytuacji, współczuje się im, jest się z nimi w tych smutnych chwilach. Poczta, która powinna przewidywać różne sytuacje, mając przecież długoletnie doświadczenie, przygotowała na taką okoliczność specjalny blankiet z czarnymi obwódkami.

Pod koniec maja tego roku smutek zapanował w pewnej rodzinie w Radomsku. Rozesłano wiadomość o śmierci która te rodzinie nawiedziła. Nadeszły kondolencje z całej Polski, a wśród nich telegram z Siedle następującej treści: „Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci...”. Specjalnie cytuję początek tego telegramu, choć podobny on jest do setek innych, jakie w tym czasie niewątpliwie krążyły po kraju. A cytuję dlatego że pocztą w Radomsku tekst tego telegramu naklepa na odbitki blankiet, jakiego używa się raczej w okolicznościach zupełnie przeciwnych, gdyż blankiet projektu Anny Moniki

Cynke wyraźnie jest oznaczony terminami: „URODZINY, IMIENINY”. Nikomu jednak nie było do śmiechu. Pomyłki pocztą w Radomsku przyjęto raczej z niesmakami.

W życiu, jak w kalejdoskopie, chwile wesołe przeplatają się ze smutnymi. Tak to już jest, niech więc i mnie wolno będzie w felietonie po tym raczej smutnym wstępie przejść do innych spraw, które wspólnie łączą jeden miłośnika pomyłek. Co prawda festiwalu „OPOLE 77” trudno raczej zaliczyć do momentów zdecydowanie wesołych, ale też nie było to tak znów zdecydowanie smutne, chociaż tego, co w Opolu było najciekawsze w telewizji jeszcze nie pokazano.

Zapowiedzi były wiele obiecujące. Będzie to zupełnie inny festiwal i był. Przede wszystkim telewizja i Polskie Radio, które tej imprezie patronowały, nowości do właściwej formuły relacjonowania na żywo. Przez długi czas usiłowano dokonać gwałtu na telewizji nagrywając wszystko na taśmie, wyglądając, ugrzeczniając, aby wzdrowiał przekaźnik w późniejszym terminie gotowa papka. Tym razem odstąpiono od tej zasady i dobrane, ale też nie było w tym nic nowego. Nowością nie było też jawne głosowanie.

„OPOLE 77” było jednak inne od poprzednich i trzeba sprawiedliwie odnotować, że zapowiada się oddzielenie tej popularnej kiedy czarowej imprezy. Były jednakże w tym wszystkim i pewne pomyłki. Przede wszystkim nie zdaliśmy jasno odpowiedzieć na pytanie: dla kogo jest ten festiwal? Dla jurorów, piosenkarzy, kompozytorów i tekściarzy? Czy też ma

to być zabawa dla publiczności, z której też coś wyniknie — poza nagrodami oczywiście — dla piosenkarzy, kompozytorów itp? Rozdzielę między tymi, co podobają się jury, a co podobają się publiczności był wraźny, o czym zresztą świadczyły gwizdy, jakimi dziękowano za prace jurorów. Rozdzielę też w pracy, kiedy Ułcia Prus nie bardzo wiedziała, czy ma na finałowym koncercie bisować nagrodzoną piosenkę „Kocham się w nocie”, czy też publiczność tego nie chce. Nie chciała ale niezrozumiany Tadeusz Szumak uratował honor jury. O rozdzielku świadczy też fakt, że powszechnie podobał się piosenki o której się mówiło również poza Opolem: „Bzz, bzz” zabrakło w koncercie finałowym.

A zawsze dzieje się tak, kiedy nie ma jasności, nie ma precyzyjnie działających krterów w Opolu było bowiem wszystko. Były młode talenty, były jęki i zawołanie. Była Urszula Sipińska miotająca się po estradzie, nie było tylko piosenek, których chciałoby się posłuchać jeszcze raz nie było ich przynajmniej w telewizji, bo były w Opolu piosenki z poprzednich festiwali, nowe piosenki „Alibabek”, recital Wojciecha Młynarskiego. Telewidzowie usłysza je w czasie późniejszym. Tylko, że to wypacza trochę obraz festiwalu, jaki wyrabia się sobie na podstawie tego, co widzi się na ekranie. Uczyć się trzeba na błędach — twierdził starożytny Polacy, a współcześni mówią, że dobrze jest uczyć się bez błędów, ale kto z nas się nie myli. Tylko, że błędy są różne...

MARCIN RODAK

11



BERGMAN

— W dramacie, który się przewala nad naszymi głowami, mój krzyk może pogromić do świerkania ptaka w zgiełku bitwy. Czuję to. Ja to wiem. — Skoro pan sobie zdaje sprawę z bezsensu swej twórczości, dlaczego nie daje pan sobie znaleźć pan sobie bardziej pożytecznego zajęcia?

— Dlaczego ptak śpiewa o trwdoze. — Wiem, odpowiedź brzmi dość sentymentalnie. Widzę już, jak pod skąpym wąsikiem drgają panu kąciki ust, jakby się układały do ironicznego uśmiechu. Doprawdy nie mam jednak innej odpowiedzi. Jeżeli ma pan ochotę, niech pan zapisze te słowa: udręka, wstyd, poniżenie, strach, nuda, pożarda. Czy pan wie, co to jest film? Nie, do diabła, sądzę ma pan wiedzieć, jest pan przecież krytykiem. Film to obrzytnie kolo, które pragniemy wprowadzić w ruch za pomocą wszystkich sił duchowych i fizycznych. Kolo powoli rusza i dzięki własnemu ciężarowi nabiera rozpędu. A my nie jesteśmy niczym innym, jak beznadziejną cząstką tego kola, cząstką jego ruchu. Tak właśnie sprawy wyglądają. Cytat pochodzi z wywiadu z Insatrem Bergmanem, opublikowanego w 1960 roku w szwedzkim piśmie filmowym „Chaplin”. Czość wywiadu mogą Czytelnicy przeczytać w szkicu Kazimierza Młynarza o Bergmanie, który otwiera opublikowaną ostatnio książkę pt. „Scenariusze”. Dzięki telewizji mieliśmy niedawno okazję poznać bliżej filmy tego znakomitego reżysera. Obecnie możemy poznać Bergmana — pisarza. Tom zawiera scenariusze jego najbardziej znanych dzieł filmowych: „Wieczoru kułgarzy”, „Siódme pieczęci”, „Tam, gdzie rosną poziomki”, „Milczenia”, „Persony” oraz „Szeptów i krzyków”.

Ingmar Bergman „Scenariusze”, przełożyli: A. Aslanowicz, S. Hebanowski, St. H. Kaszyński, K. Młynarz, G. Sadalska, WAIF, W-wa 1977, str. 355, cena zł 60.

DZIAŁA NAWARONY

W trzydziestotysięcznym nakładzie, można więc podejrzewać, że w o wiele za małym jak na czytelnice apetyty, ukazała się w „Iskrach” powieść Alistair MacLeana „Działła Nawarony”. Nie ma chyba potrzeby bliżej przedstawiać tej książki, bo nakreślony według niej film, tak jak na całym świecie, i tu nasz bli rekordy powodzenia. Przypomina nam tylko, że akcja toczy się podczas II wojny światowej, a bohaterami jest piątka komandosów przeprowadzających trudną i skomplikowaną akcję, w wyniku której owe tytułowe działła Nawarony wylatują w powietrze.

Alistair MacLean Sztok i pochodzenia, urodził się w roku 1923. Po wybuchu II wojny światowej wstąpił do brytyjskiej marynarki wojennej. Po wojnie studiował na uniwersytecie w Glasgow. Swoje wojenne przeżycia i doświadczenia z przeszło dwuletniej służby na angielskim krążowniku MacLean wykorzystał w pierwszej książce „H.M.S. Ullases”, która bardzo szybko zdobyła sobie aprobatę czytelników na Zachodzie. W Polsce ukazała się ona w roku 1959 i również cieszyła się sporą popularnością. Dziś pisarz ma już na swoim koncie przeszło dwadzieścia książek, z których mieliśmy okazję poznać m.in. „Siłę strachu” i „Noc bez brasku”.

Nie wszystkim książki MacLeana mogą odpowiadać. Zastwardziały realizm mogą na przykład, rzadko często zupełnie nieporodopodobne i krew mrozące w zylach przygody bohaterów tego powieści, z reguły zresztą kończące się powodzeniem. Dla tych jednak Czytelników, którym nadmiar fantazji nie przeszkadza, którym odpowiada dramatyczna i pełna napięcia, często nawet brutalna akcja, „Działła Nawarony” będą wspaniałą lekturą, której nie przeszkadzą nawet wspomnienia filmu.

Alistair MacLean „Działła Nawarony”, przełożył A. Kaska, „Iskry”, W-wa 1977, str. 283, cena zł 32.

KONIEC SOJUSZU TRZECH CESARZY

W 1815 roku — już po Kongresie Wiedeńskim — cesarze Austrii, Prus i Rosji zawarli sojusz, zwany też „Świętym Przymierzem”. Dzieło tego sojuszu opisuje Henryk Wereszycki „Koniec sojuszu trzech cesarzy” — jak wspomina autor we wstępie — stanowi ostatnią część historii sojuszu trzech europejskich cesarzy. Jest to jednak książka, którą można traktować jako odrębną całość. Tak zresztą uczyniło Państwo wydawnictwo Naukowe, które nie podało żadnych wzmianek o poprzednich książkach.

Henryk Wereszycki postawił sobie ambitne zadanie pokazania ostatniego okresu sojuszu trzech cesarzy — już po kongresie wiedeńskim z 1814 roku aż do 1815 roku — w świetle światowej literatury. Jest rzeczą oczywistą, że historycy angielscy, amerykańscy, a tym bardziej austriaccy, niemieccy czy rosyjscy patrzą na ten okres dziejów Europy z innych punktów widzenia niż historycy polscy. Nasz historycy interesują się głównie kwestią polską, interesowali się polityką polską mocarstw zaborczych, a także stosunkiem dyplomacji europejskiej do sprawy polskiej. Niejednokrotnie stosunek do podzielenia przez zaborców Polski stawali oni jako centralny punkt polityki europejskiej, kierując pretensje do dyplomatów i polityków XIX wieku, że zbyt mało zajmowali się tą sprawą.

A przecież dla mocarstw zaborczych, tak jak i dla innych państw europejskich, sprawa podzielenia Polski była jednym tylko z problemów politycznych, który powracał najczęściej wtedy na arenę polityczną, kiedy dochodziło do konfliktu z jednym z mocarstw zaborczych. Tak stało się też w okresie narastającego konfliktu przed pierwszą wojną światową kiedy to rozpadł się sojusz trzech cesarzy, a Rosja znalazła się w obliczu przeciwnym i kiedy wiadomym stało się że zbliżająca się wojna musi rozgrywać się na ziemiach polskich.

Henryk Wereszycki próbuje w świetle światowej literatury, a także w świetle dokumentów, rozwiać kilka mitów historiografii polskiej, sprowadzając je do realnych wymiarów, przeciwstawiając się megalomani historyków z końca XIX i początku XX wieku co wcale nie znaczy, że przyjmując punkt widzenia historyków innych krajów.

Henryk Wereszycki — „Koniec sojuszu trzech cesarzy”, PWN, Warszawa 1977, str. 408, cena zł 58.—

PORTRET DAMY

Amerykański powieściopisarz i nowellista Henry James dzięki licznym podróżom doskonale poznał Europę. Tu się również kształcił, tu w roku 1913, na rok przed śmiercią, przyjął obywatelstwo brytyjskie. Nie też żyłowego, że w swojej twórczości zawsze chętnie eksplloatował motyw Amerykanina w Europie, konfrontował młodą i purytanską kulturę Ameryki z kulturą europejską. Choć za życia Henry James był już ceniony i uznany to przecież zarzucono mu zbyt zwężony styl. Dopiero lata czterdzieste przyniosły mu prawdziwy, choć już postumorny triumf: jego książki cieszyły się popularnością wśród szerokich kręgów czytelników, zachwyciła się nim krytyka. Zalicza się Jamesa do grona twórców współczesnej powieści psychologicznej, a Joseph Conrad nazywał twórcę „Ambasadorów”, „najbardziej cywilizowanym pisarzem epoki”.

Przypomnijmy o pisarstwie Henry Jamesa, ponieważ w „Czytelniku” ukazał się właśnie polski przekład jednej z najsmutniejszych jego powieści. Jest nią „Portret damy”, wydany po raz pierwszy w roku 1882, kiedy pisarz miał już w swoim dorobku sześć powieści, dwa dłuższe opowiadania, liczne szkice z podróży i eseje. „Portret damy”, obszerna powieść skonstruowana według obowiązujących dwudziestowiecznych kanonów, to doskonały, szalenie wnikliwy psychologiczny portret młodej kobiety. Oczywiście i tu odnajdziemy motyw Amerykanów w Europie, sama bohaterka — Isabel Archer jest zresztą także Amerykanką.

„Portret damy” polecamy znancom dobrej prozy. Pisarski sztuka Henry Jamesa zadowolili nawet najwybredniejszych czytelników.

Henry James „Portret damy”, przełożyła M. Skibniewska, Czytelnik, W-wa 1977, str. 804, cena zł 75.

CHCECIE TO WIERZCIE...

Kanikuła w pełni. Jak zwykle, w tym okresie prasa raczy swoich czytelników różnego rodzaju niesamowitymi historiami — byle tylko swoistej tradycji stało się zadość. Nie, nie bójcie się! Nie każemy Wam dzisiaj zajmować się rozważaniami na temat latających spodków czy możliwości najazdu Marsjan na naszą planetę. Mamy w zanadru znacznie lepsze, rzecz można — nieopowtarzalne „historyjki”. Otóż, sięgnęliśmy do jednego w swoim rodzaju wydawnictwa amerykańskiego — Ripleya, specjalizującego się w wynajdywaniu i gromadzeniu nieprawdopodobnych anegdot, curiosów historycznych, obyczajowych, wydarzeń, dziwów itd. itp.

„Zbiór ten — czytamy we wstępie do jednej z książeczek Ripleya — przygotował sztab ludzi, którzy przeszli najdalsze kontynenty, wspinali się na najwyższe szczyty, aby zweryfikować podane tu fakty — no i byś Ty, Czytelniku, mógł się dziś o nich od nas dowiedzieć...”

Książeczki Ripleya cieszą się wielkim powodzeniem, ba, niektóre nawet dzienniki zachodnie korzystają z usług wydawcy przedrukowując co lepsze „kawalki”. Oddajmy zatem głos Ripleyowi.

Juen Tong — chiński buddysta, asceta — żyjący w XVIII wieku, mając 22 lata usiadł w charakterystycznej pozycji, ze skrzyżowanymi nogami i nie zmienił tej pozycji przez 62 lata. Umarł tak, jak... siedział. Po śmierci ciała jego zostało zabalsamowane, a mumia Juena Tonga — u-

mieszczona w szklanej gablocie, znajduje się w pagodzie w Jun-nan-fu.

Cesarz Japonii Sutoku (1124—1164) będąc na zesłaniu w Sanuki, spędzał czas na przepisywaniu słynnego hinduskiego eseju Lanharara Sutra swą własną kawią. Ten swoistego rodzaju unikat zawiera 135 stron, składa się z 1.215 wierszy i 10.500 słów. Cesarz przepisywał księgę w nadziei, że Budda zwróci mu tron. I istotnie. Sutoku powrócił na tron w 1144 roku i panował jeszcze lat 20.

Najmłodszym generałem prowadzącym swą armię do boju był... trzymiesięczny książę Godevaart III z Brabancji. Książę liczył sobie zaledwie 90 dni, gdy odziedziczył po swym ojcu monarchię, a tym samym i dowództwo nad armią. Wtedy też wybuchła wojna. Młodziutki suweren, zgodnie z tradycją, prowadzić miał do boju swe wojska. Kółko z generałem umieszczono między drzewami, obserwowali pole walki. Ponieważ był „dowódcą” — jemu przypisano zwycięstwo. Godevaart panował 48 lat (1142—1190). Znany jest w historii jako „Odważny”, choć w pamięci potomnych pozostał na zawsze jako „Książę Kółka”.

Shakaha (1758—1812), znany pod pseudonimem „Wielki Biały”, wódz plemienia Mandan (Południowa Da-

kota) był najbardziej niesamowitym Indianinem, jaki kiedykolwiek żył. Mierzył 7 stóp wzrostu (około 2,10 m). Ciało i włosy miał śnieżnobiałe. Był to najwyższy albinos świata.

Profesor Filip Antoni Edward Leonard (1862—1947), znakomity fizyk, dotknięty był przedziwną chorobą. Nie mógł nigdy wymówić nazwiska wielkiego Sir Isaaca Newtona, nie mógł także bez wstępu czytać o nim, ani nawet słyszeć. Jeśli zdarzyło się, że w czasie wykładu musiał posłużyć się nazwiskiem wielkiego uczonego, odwracał się do słuchaczy a jeden ze studentów pisał je na tablicy, skąd musiało być starte zanim profesor znów się odwrócił. Co dziwniejsze, fobia ta — jedna z najbardziej chyba nieprawdopodobnych w historii — prześladowała znakomitego fizyka, wykładowcę w Heidelbergu i Kolonii, posiadacza nagrody Nobla w dziedzinie fizyki (1905), wielkiego znawcę elektroniki. Jednym słowem: „Geniusz prześladowany przez patologiczny lęk przed niewinną kombinacją liter i dźwięków”.

Historia zna tylko jedną królową, która była nią mniej niż 24 godziny. Była to Juana de Castro, którą poślubił król Pedro I Kastylski w maju 1354 roku. Ślub odbył się w Cuellar w Hiszpanii, w asyście dwóch biskupów. Nikt, niestety, nie wie, co stało się potem, prawda jednak jest, że następnego ranka król anulował małżeństwo i do końca życia nie widział już swej ex-zony.

HENRYK CISKI



Fot. Archiwum

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

HUMOR RADZIECKI

L. IZMAIŁOW

NOCNA OPERACJA

Dochodziła pierwsza w nocy. W mieszkaniu na ósmym piętrze kończono ostatnie przygotowania. Kobieta — przymierzająca przed lustrem czarna pończochę — zdjęła ją z twarzy i położyła na krześle. Mężczyzna przebijając w peku wytrychów chodź nerwowo po pokoju.

— Gdzie obęgi? — zapytał przyciszonym głosem.

Kobieta wskazała gestem.

— Usiądź na chwilę. Nie chodź po mieszkaniu. Nie denerwuj się!

— A gdzie chusteczki do nosa?

Niewiasta wyjęła z kieszeni cztery chusteczki. Mężczyzna usiadł na krześle i zapalił papierosa.

— A chloroform?

Wskazała ręką na flakon.

— Wszystko gotowe! Pójdziemy w papuciach. Potem je wrzucimy do wpustu na śmieci.

— Lepiej będzie w skarpetkach — odparł mężczyzna i znow rozpoczął spacer po pokoju.

— Długo dzisiaj tupią! — powiedziała kobieta spoglądając na sufit.

Na dziewiątym piętrze tupali zdrowo. Ktoś walił obcasem do taktu. Ale sędzia po różnych oznakach ubaw zbliżał się ku końcowi.

— Zgasł światło — powiedział mężczyzna.

Do wybicia pierwszej siedzieli po ciemku przysłuchując się tupaniu u sąsiadów na dziewiątym piętrze. O wpół do drugiej ucichło. Kobieta wyrzuciła przez okno ku górze i oznajmiła.

— Zgasili światło!

Gangsterzy naciągnęli na twarze czarne pończochy, na ręce nałożyli gumowe rekawiczki, zdjęli buty i w skarpetkach weszli cicho na korytarz.

Na schodach ogarnęli ich ciemność. Lampy były już uprzednio wykrecone.

— Wszędzie śpią! — wyszeptala kobieta.

Bandyci zaczęli wspinąć się po schodach na górę. Nagle kobieta schwyła mężczyznę za rękę. Z niższego pietra dobiegał jakiś szmer. Stanieli, przysłuchując się chwilę. Ale na schodach było cicho.

Złodzieje szli po omacku. Na podęście znów im się zdawało, że ktoś

z nimi idzie po ciemku. Znow zamarli.

— To kot! — powiedziała kobieta.

Mężczyzna już był przed drzwiami na dziewiątym piętrze. Wprawny ruchem wsunął w zamek wytrych. Drzwi otworzyły się bezdźwięcznie. Weszli do holu. Po ciemku zakradli się do sypialni, skąd dobiegało chrapanie. Zapachniało chloroformem. Położyli mokre chusteczki na twarzach śpiących ludzi.

Potem włamywacze przeszli do następnego pokoju, gdzie uśpili następną parę mieszkańców.

Kleknąwszy kobieta wygarnęła spod łóżka jakieś ciemne przedmioty i zaniosła je do przedpokoju. On wynosił coś z pierwszej sypialni.

— Instrumenty! — szepnął cicho.

Podala mu obęgi. Przy świetle zapalonej latarki elektrycznej oderwał obcas u pierwszego buta.

Potem wziął się za drugiego, za trzeci, za piąty. Ona podawała mu buciki, czółenka, kamasze a on odrywał szybko obcasy.

Kobieta oświetliła latarką szafkę na obuwiu.

— To już wszystko? — zapytał gangster.

— Wszystko! — padła zdyszana odpowiedź.

Zgarnął stos obcasów do torby. Na korytarzu odczekali chwilę, doszedł ich bowiem jakiś cichy szmer na schodach. Jak cienie wśliznęli się do swego mieszkania. Nie zapalając światła mężczyzna wrócił na korytarz i wysypał do wpustu dowody rzeczowe.

— Myślę — powiedział ściągając z twarzy czarną pończochę — myślę że przez jakiś tydzień będziemy spać spokojnie!

— Niech spróbują tupać bez obcasów! — szepnęła kobieta.

— Słuchaj! — rzekł nagle blednac. — Pamiętaj doskonale, że wychodząc z mieszkania zamknij drzwi na klucz!

— Tak jest — odparła zaniepokojona.

— A teraz drzwi były otwarte. Tu ktoś był!

Skoczył do kontaktu. Buchnęło światło i oto ujrzał na podłodze stos

swojego własnego obuwiu — a wszystkie buty, buciki, pantofelki i czółenka — były bez obcasów.

— A mówiłam ci — nie tup tak mocno! — powiedziała z wyrzutem. Przecież pod nami też mieszkają ludzie!

(Literaturna Gazeta)

JOZAS BUŁOTA

PRZEGRANY

— Patrz, tedy poszedł!

— Zbladł jak ściana!

— Stan przedzawalowy! Oczy szklane.

— Gdzie tam szklane. Lzy z nich omal nie trysły!

— Myślisz, że płacz mu pomoże?

— No i patrzajcie! Żył sobie człowiek, pracował i nagle coś mu do łba strzeliło! I przepadł!

— A tyle mu klarowało. Nie posłuchał.

— Myślał, że zjadł wszystkie rozumy. A teraz rozum na nic mu się nie przyda.

— Jak sądzicie, długo wytrzyma?

— Dwa, trzy dni, najwyżej!

— No, tak, dusza był człowiek, a teraz co? Żywy trup.

Ciekawe co uczyni jego żona? Dzieci mają!

— Pogotowie by trzeba wezwać na wszelki wypadek. Jak tylko wyjdzie z gabinetu dyrektora — z miejsca go na nosze.

— Medycyna tu na nic!

— A taki sumienny był inżynier! I teraz masz!

— W samej rzeczy — wszyscy na niego Pitkus tu, Pitkus tam. I masz Pitkusa!

Nagle otworzyły się drzwi gabinetu i wyszedł z nich inżynier Pitkus. Współpracownicy odszkodzyli pod ścianą jak od zarażonego.

Dzisiaj, na otwartym zebraniu, inżynier Pitkus odważył się skrytykować samego naczelnego. Dosłownie — tak powiedział:

— Do tego czasu nasz oddział nie otrzymał koszy na śmieci! Co to za porządku, towarzyszu dyrektorze.

Wybrał i tłumaczył:
H. RUD.

MIECZYŚLAW MICHAŁ SZARGAN

UKWIAŁY

* * *

Rada dla lisów farbowanych: „A paradować mi chytruski tylko w słończku!”

* * *

Jedliśmy z jednego kotła całkiem różne potrawy.

* * *

Od czasu do czasu musi nastąpić koniec świata, aby znowu mógł się powtórzyć.

* * *

Ci, co wybierają z życia rodzynki, powinni zeżreć i ciasto z zakalcem!

* * *

Ścieżka została już tak wydeptana, że nikt nie pomyślał, iż do celu można dojść krótszą drogą.

* * *

Bywa, że klatka w której siedzi lew jest pusta.

* * *

Wyznanie nędzarza: „Ale nie zawsze byłem tak ubogi, kiedyś pamiętałem miałem piękny sen”.

* * *

Znikanie pewnych osób z horyzontu przyczynia się do czystości środowiska.

* * *

Czy na Sądzie Ostatecznym działac będą także Sądy Powiatowe?

* * *

Aż znalazł się człowiek co nie drugiego, lecz sam utopił się w łyżce wody.

* * *

Pisarz wyjechał nad jezioro i napisał książkę. W książce jest pełno wody.

* * *

Objął wszystkie intratniejsze stanowiska, tłumacząc nam, iż w ten sposób mamy tam swojego człowieka.

* * *

Są orkiestry, w których klarncista gra pierwsze skrzypce!

* * *

Biedne wieże! Wszystko z nich widać.

* * *

Przyjaciół poznajemy w biedzie, dlatego tylu z nas ją klepie.

* * *

Tam było tyle wyjść, że nie można było wejść.

* * *

Za pomocą jasnych zdań, można wyrażać również ciemne myśli.